

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 5 LIPCA 1930 ROKU

NR. 27

TREŚĆ NUMERU: Artykuł 214-ty — *Herminja Naglerowa*. Dookoła kongresu Pen-klubów — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Gałązka akacji — *Jadwiga Korczakowska*. Hroswita (dokończenie) — *Ida Kotowa*. Malarstwo kobiece na ostatnich wystawach — *I. j.* Ochrona kobiet w parlamencie angielskim — *E. Borowska-Treadwell*. Z książek — *Z. M.* Kobieta w świecie i w domu. Jak najmniej gratów w mieszkaniu — *J. Ginett-Wojnarowiczowa*. Czy tylko perkaliki — *M. Saryusz-Stokowska*. Dieta w chorobie — *Marja Morzkowska*. Czarne porzeczki — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Komplet — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

## ARTYKUŁ 214-TY

Przed trybunałem sądu przysięgłych w Tarnowie odbyła się rozprawa przeciwko Józefie Furdynównie, służącej z pod Mielca, która zabiła swe pięciomiesięczne dziecko, dusząc je ziemią, włożoną do ust. Sąd uznał Furdynównę winną i wydał wyrok, skazujący ją na karę śmierci przez powieszenie.

Nie dla melodramatycznego efektu czynię z tej krótkiej dziennikarskiej notatki „motto” do mojego artykułu. Jest wprawdzie w tem lakonicznym stwierdzeniu faktu coś okrutnego i bezwzględne, ale telegraficzny skrót zdaje się niemal pozbawiać cech rzeczywistości to, co stało się naprawdę i miało swoją długą historję, swoje tragiczne wstrząsy i swój ponury epilog. Niekiedy właśnie skąpstwo słów przemienia długie, rzeczywiste, żywe „historje” w abstrakcje...

Jednakże tak się stało, że wyrok tarnowskiego sądu przysięgłych „poruszył opinię”. Odezwał się najpierw Boy-Żeleński, potem poszły sporadyczne głosy kobiet; ukazała się też w tej sprawie zbiorowa odezwa organizacyj kobiecych. Sprawa Furdynówny — zbrodniarki, wyrodnej matki — rozpatrywana jest wielorako: uczuciowo, społecznie, humanitarystycznie. Ta „historja, jakich wiele” i ten problem nienowyy — rzecz można, codzienny — staje się znowu punktem wyjścia dla kwestyj, postulatów, zasadniczych sporów.

Nie wiemy wcale, jak dzieciobójczyni Józefa

Furdynówna tłumaczyła swój czyn; nie wiemy, czy wogóle umiała go wytłumaczyć. Sąd przysięgłych, w którego skład wchodziły (według artykułu 214 prawa o ustroju sądów przysięgłych z dnia 6-go lutego 1928 r.) osoby płci męskiej, posiadające obywatelstwo polskie, pełnię praw cywilnych i obywatelskich i t. d. — uznał winę dzieciobójczyni. Wszystko w porządku. Inscenizacja, wyreżyserowana artykułem 214-ym i tylu jeszcze innymi artykułami i paragrafami ustawy karnej, obowiązującej dotąd w Małopolsce — jest bez zarzutu.

A mimo to — ośmielamy się oświadczyć tu stanowczo, że nie wszystko jest w porządku. Jak bowiem można wobec konstytucyjnie przyznanego i zawarowanego równouprawnienia uznać taki stan rzeczy, by jedna płeć miała wyłączne prawo sądenia w sądach przysięgłych? Jest coś niepojętego i absurdalnego w takim interpretowaniu prawa.

Trudno poprostu zapytać, dlaczego tak się dzieje. Trudno domagać się uzasadnienia takich ustanowień (r. 1928). Nie — niema tu ani pytań, ani odpowiedzi, skoro niedopuszczenie kobiet do sądów przysięgłych jest nielogiczne. Bajanie o nieodpowiedzialności, o łatwiejszem uleganiu impulsom uczuciowym, więc robienie z kobiet okazów psychopatologicznych, jest jedynie śmieszną złośliwością i niedołązną obroną swoich, rzekomo zagrożonych, praw, placówek, stanowisk.

Sprawa niedopuszczenia kobiet do sądów przy-

sieglých byla wprawdzie niejednokrotnie tematem naszej, kobiecej publicystyki, byla i jest postulatem spolecznych związków i organizacyj kobiecych, ale wobec aktualności innych spolecznych zagadnień, przychlylly zczasem głosy protestów. Aż oto życie samo musiało wznowić słuszny postulat i zaktualizować zagadnienie.

Sprawa dzieciobójczyni Furdynówny, oświełona wszechstronnie, rozgałęzia się na szereg zagadnień spolecznych, jest sama w sobie kompleksem najróżniejszych nędz spolecznych. Więć właśnie: porzucone matki, nieślubne dzieci, zniesienie kary śmierci. Wszystko to może wzburzyć sumienie spoleczne, może i powinno wzmóc energję reformatorów pojęć spolecznych. Raz jeszcze trzeba powtórzyć wszystkie argumenty i raz jeszcze przekonywać. Ale sprawa, wywołana wyrokiem tarnowskiego sądu przysięglých, wznawia również i ożywia kwestję dopuszczenia kobiet do sądów przysięglých, dopuszczenia kobiet bez zastrzeżeń do sprawowania funkcj sędziowskich. I to nie dlatego, że czulość sumienia, czy serca kobiecego bylyby świetnymi zaletami sędziowskimi. I nie dlatego też, że mężczyźni jakoby tych subtelnych odczuć i wyczuć nie posiadają. Nie chcemy zagadnienia tego rozważać, jako t. zw kwestji zaufania do sprawiedliwosci, czy też jurysprudencji mężczyzn. Sady mężczyzn bywały sprawiedliwe i niesprawiedliwe, rozumne i histeryczne (przypomnę tu średniowieczne sady przeciw czarownicom, kiedy to histerja sędziów współzawodniczyła z histerją rzekomych czarownic), bywały łagodne i okrutne.

Sądzę, że kobiety nie bylyby ani lepsze, ani gorsze od mężczyzn. Powiem więc: argument „współczującego serca kobiety“ nie wydaje mi się zbyt przekonujący. Znaczenie i wagę ma tu jedynie „inność“ kobiecej psychiki, właśnie odmienna wrażliwość i odmiennie ujmowanie zjawisk życia.

Unikając jednak przesady w dowodzeniu słuszności naszych żądań, ograniczę się tylko do skonstatowania — równouprawnienia. Któż zaprzeczy, że je posiadamy? A jednak artykuł 214-y mówi o osobach płci męskiej, tylko tym „osobom“ przyznaje prawo zasiadania na ławach sędziów przysięglých. Protesty

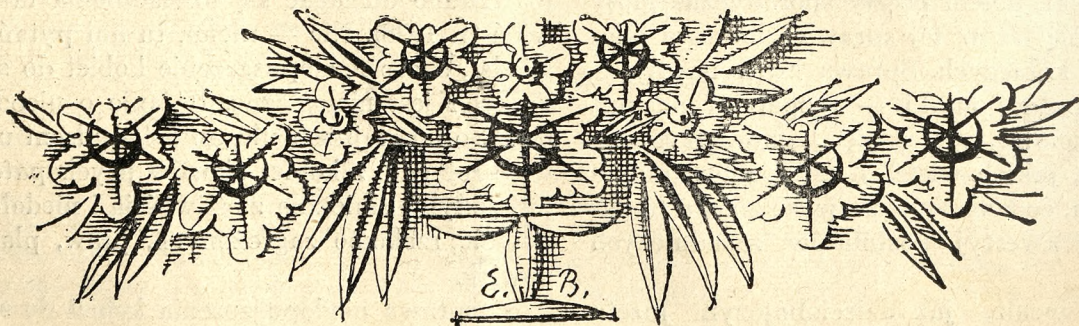
kobiet, oparte o zawarowane nam prawa, wywoływały bałamutne odpowiedzi, rozpraszały się w dyskusjach nad — psychiką kobiety. Z tej i z tamtej strony licytowano wartości dodatnie, albo notowano cechy ujemne charakteru obu płci. Duchy czarne i białe toczyły ze sobą bój. Ahryman i Ormuzd, Belbohy i Czernobohy. Zarozumialość i zacierzowanie okazały się jednak — wspólnymi cechami obu płci. Żadna ze stron dyskutujących nie była lepsza. Ale jedna strona miała, mimo to, słuszność, była — w prawie. Miały bezsprzeczną słuszność — kobiety. Ich niezbitym i niczem niezwalczonym argumentem było bowiem i jest — równouprawnienie.

Tak, nie chcemy reagować na żadne pseudonaukowe dowodzenia, na żadne niesprawdzone dotąd twierdzenia. Zbyt goloślowny, zbyt już nużący i nieproduktywny jest ten spór o wartości. W samym pojęciu równouprawnienia mieści się już „klasyfikacja“, dostatecznie przekonująca. Mieści się zresztą przyznanie kobietom ludzkich wartości, których zużytkowanie w dzisiejszych formach państwowych i spolecznych jest konieczne. Współpraca kobiet we wszystkich dziedzinach, uczestniczenie kobiet w świadczeniach na rzecz państwa i spoleczeństwa okazało się bezwzględnie potrzebne, odkąd zrozumiano, że jednostronność w zużytkowaniu pracy i energii ludzkiej jest przyczyną wielu niedomagań zarówno spolecznych, jak i państwowych. Zupełność i „całkowitość“ wysiłków, jako suma wszystkich wartości — będzie właśnie rezultatem równych praw i obowiązków.

Jest to tak jasne i zrozumiałe, że wszelki spór na ten temat wydaje się nam już niepotrzebny i, doprawdy, szkoda naszej energii, wydatkowanej na te ciągle dowodzenia, na te ciągle powtarzane argumentacje. Bez współudziału intelektu, ducha, pracy kobiety — omyłki, popełniane przez ludzkość, przybiorą rozmiały klęsk. Może już są klęskami, trudnymi już do naprawienia krzywdami i niesprawiedliwościami!

Tragedja „jakijs tam“ Furdynówny jaskrawo oświełiła „komedję omyłek“, wynikła z uporu i męskiego zacofania. Ileż to jeszcze takich ponurych nieporozumień wezmą na swoją odpowiedzialność mężczyźni?

Herminja Naglerowa.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## DOKOŁA KONGRESU PEN-KLUBÓW

Kiedy w r. 1921 pani Dawson Scott powzięła myśl stworzenia Pen-clubu — tego międzynarodowego sojuszu literatów — i zwierzyła się z niej swoim dzieciom, te wykrzyknęły jednogłośnie:

— Ależ, mamó! masz zawsze szalone pomysły. Przecież to się nie da nigdy urzeczywistnić!

Minęło lat dziewięć. Ósmy kongres Pen-klubów, świeżo zakończony w Warszawie, zgromadził przedstawicieli dwudziestu paru literatur świata. Co spowodowało tak szybki rozrost instytucji, tylko dobra duchowe ludzkości mającej na celu? Jaka idea była i jest magnesem, który z odległych krańców globu ściągnął tych ludzi najrozmaitszych ras, przekonań politycznych, nastawień społecznych, stosunku do rzeczywistości i koncepcyj twórczych? Bo fakt, że wszyscy oni są ludźmi pióra, zadzierzga wprawdzie między nimi węzeł koleżeństwa zawodowego, ale nie decyduje o braterstwie krwi ideowej; może budzić poczucie wspólności interesów, ale nie zdolen jest stworzyć spójni wewnętrznej — duchowego kręgosłupa, skupiającego i utrzymującego w równowadze rozgałęziony system kostny tego przedziwnego organizmu.

Aby go należycie zrozumieć, trzeba sięgnąć do jego źródeł. Rodzicielką idei Pen-klubu była wojna. Ta straszna mistrzyni narodów przez śmierć nauczyła je cenić wartość życia, krwawymi drogami nienawiści zaprowadziła do krynicy miłości. Człowiek, cudem wyrwany z objęć śmierci, zapragnął innego uścisku: uścisku brata z tamtej strony okopów, brata, w którego pierś wczoraj jeszcze godził morderczym żelazem. Prawo życia brało w ten sposób odwet na prawie śmierci. Nic tak, jak samotność istoty ludzkiej na zatraconej placówce, czy na poboju, nie przyczyniło się do wzbudzenia tęsknoty człowieka za człowiekiem. Tęsknocie tej dał wyraz artystyczny cały szereg utworów literatury powojennej — jedno z jej konkretnych zaspokojen powinna przynieść instytucja Pen-klubów, wszechświatowego stowarzyszenia ludzi piszących.

I nie jest to jedynie dziełem przypadku, że inicjatorką tej literackiej Ligi Narodów stała się kobieta. Dusza kobieca jest najczulszym seismografem, notującym skwapliwie i wiernie psychiczne wstrząśnienia globu. Ręka kobiety, pierwsza z pośród mściwych pięści, wyciągnęła się z chlebem do zgłodniałego jeńca; pierwsza na pustyni powojennego życia jęła szukać źródeł, zdolnych ugasić powszechne pragnienie pojednania.

Myśl pani Dawson Scott — przez jej własne dzieci nazwana szaleństwem — jak wszystkie szaleństwa serca, znalazła nadspodziewanie rychło swoich

apostołów i wyznawców. W Anglii podjął ją wielki pisarz Galsworthy, któremu się ze swych planów zwierzyła. U nas fanatycznym rzecznikiem jej i istotnym założycielem polskiego Pen-klubu był Żeromski. „Serce nienasycone“, oprócz pisanej, zostawiło nam tę żywą spuściznę.

Czy ten pogrobowiec duchowy wielkiego marzyciela poszedł temi właśnie drogami, jakie myśl jego mu wykreśliła, nie pora i nie miejsce dyskutować. W każdym razie jedno należy stwierdzić: z chwilą otwarcia polskiego Pen-klubu rozpoczęła się żywsza wymiana intelektualnych wartości między nami, a Europą. Odwiedziny znakomitych pisarzy dawały możliwość bezpośredniego zetknięcia się z indywidualnościami, które kojarzyły w sobie dwa podniecające pierwiastki: obcość i niezwykłość. Te cudzoziemskie meteory na mglistym firmamencie naszych literackich stosunków elektryzowały chociaż na czas krótki brać piszącą i gromadziły ją niemal w komplecie na rautach i bankietach, które, dzięki swemu ściśle klubowemu charakterowi, nabierały posmaku wyjątkowości. Literatura zaczynała znów być modną w znaczeniu towarzyskim i kosmopolitycznym. Daleko jej wprawdzie było do oszalamiającego powodzenia międzynarodowych zawodów konnych, czy meczów pił-



Otwarcie VIII kongresu Pen-klubów w sali sejmowej.

karskich, ale coraz częściej na zebraniach klubowych padało magiczne słowo „propaganda“.

Tem słowem namaszczyliśmy wszystkie nasze spory, dyskusje, utarczki. Sekcja przekładów mocowała się z obojętnością cudzoziemskich sfer wydawniczych dla naszej literatury.

Aż zaczął się zbliżać szczytowy moment napięcia klubowych sił reprezentacyjnych: kongres, VIII z kolei kongres Pen-klubów w Warszawie. Z paru ostatnich dorocznych kongresów nasi delegaci przywozili szerokie tchnienie obrad, odblask świetnego przyjęcia, echa serdecznej wymiany myśli. W Szwecji otwierał kongres król, w Wiedniu prezydent republiki austriackiej. U nas najwyższymi atrakcjami kongresu miał być raut na Zamku i garden-party w Belwederze.

Z powodu nieobecności w Warszawie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Marszałka Piłsudskiego trzeba było skurczyć skrzydła kongresowego splendoru. Zamiast garden-party dano widowisko na wyspie w Łazienkach, zamiast rautu na Zamku — raut w pałacu Łazienkowskim. I jedno i drugie, dzięki cudownej pogodzie i urokowi miejsca, stworzyło ten moment nastroju „z nieprawdziwego zdarzenia“, jaki wyobraźnia wyeliminuje zawsze z tła oficjalnych przedstawień i bankietów. Niewątpliwie nasza orkiestra baletowa mogłaby staranniej przygotować się do występu „międzynarodowego“, kostjomy ludowe mogły mniej przypominać tanie lalki z jarmarcznych straganów, a tańce mogły być bardziej pomysłowe — ale to wszystko, co w murach i pod dachem byłoby skandalem, czar nocy letniej zamienił w igraszkę.

Kamienni filozofowie, którzy zadumanem półkolem obsiedli szczyt amfiteatru, z przerażeniem spoglądali chwilami na to, co się działo na scenie, ale miło im było niewątpliwie widzieć u stóp swoich rozpostarte wachlarz ludzkich głów, spięty dwiema najpiękniejszymi kameami, jakimi poszczycić się może rasa anglosaska: głowami pana i pani Galsworthy. Ta para naprawdę miała styl z epoki króla Stasia: finezję, wykwint i prostotę, godną królewskiej siedziby.

Raut w pałacu Łazienkowskim był krążeniem romantycznych cieni. Styłowego wnętrza nie sprofanowano elektrycznością. Świece w kandelabrach, świece w pająkach, rubinowe i złote wino w kielichach — jak za króla Stasia. Nicby na tem splendor pałacu nie stracił, gdyby świec było dwa razy więcej, a osób dwa razy mniej, ale cóż robić? Może właśnie dla miejscowej elity towarzyskiej tradycje pałacu Łazienkowskiego stanowiły większą atrakcję, niż dla zamorskich i zagórskich panów, wsłuchanych z podziwem w chór żab, głoszących chwałę wody i nocy.

Oficjalne rauty i bankiety są do siebie bliźniaczko podobne. Twarze ich — to maski, odlane wedle szablonu protokołów. Tymczasem pożegnalny bankiet



Anglicy w Łowiczu, kupujący na pamiątkę zapaski ludowe.

Pen-klubu w hotelu Europejskim miał oblicze, rozjaśnione uśmiechem. Przemówienia dwudziestu kilku narodowości, trwające w sumie około dwu godzin, stałyby się śmiertelną piłą, gdyby nie genialny instykt humoru, z jakim je zapowiadał profesor Dyboski. „Spiritus flat, ubi vult“. Któżby po uczonym mógł się spodziewać znakomitego „speaker“, ciętego zapowiadacza, improwizatora doskonałej „konferansierki“, hojnego szafarza soli attyckiej, tej przyprawy, bez której każda biesiada jest mdłą i jałową?

A skoro już mówimy o wrodzonym darze wzbudzania nastrojów zbiorowych, to niepodobna nie wspomnieć o pani Grecie von Urbanitzky, delegatce austriackiej, która podała projekt międzynarodowej literackiej nagrody Pen-klubu i prowadziła dyskusję nad tym projektem tak, jak dobry dyrygent orkiestrę.

Miła, przystojna, elegancka wiedeńska w rolę przewodniczącej wniosła tyle swobody, umiejętności, energii, opanowania, przecinała wątpliwości, uśmierzała wybuchające spory z taką łatwością, bez cienia wysiłku, że aż sprawiało to chwilami wrażenie sportu, doskonale zagranej partii w jakiejś nieznanej jeszcze grze parlamentarnej.

Bo istotnie był to parlament literacki, ale jakże odmienny od parlamentów politycznych! Były wprawdzie tarcia i spory, zanosilo się nawet na burzę, sprowokowaną przez demagogiczny projekt jednego z literatów niemieckich; jednak powagą i kulturalne dostojeństwo obrad nie zostało ani na chwilę zakłócone.

Uchwały i postanowienia kongresu, jak również sprawozdania z przebiegu obrad, zamieściły wszystkie pisma codzienne. Nie będziemy zatem tutaj ich powtarzać. Zwrócimy zato uwagę na drugą, może ważniejszą i ciekawszą dla nas, stronę tego międzynarodowego zlotu: na stronę reprezentacyjną i propagandową. Bezpośrednie zetknięcie się uczestników kongresu nastąpiło właściwie na terenie towarzyskim, na wspólnych śniadaniach, rautach i wycieczkach.

To, cośmy tam między sobą mówili, nienotowane było w żadnych stenogramach urzędowych, ale wniesione niewątpliwie, jako pozycja dodatnia, w rejestr tych zdobyczy kulturalnych, których owocem powinno być zbliżenie między narodami. Podkreślam: nie zatarcie odrębności nacjonalnych, ale wzajemne niemi się podzielenie.

Charakterystycznym jest objaw, że zainteresowanie, a niekiedy podziw, z jakim cudzoziemcy odnoszą się do naszych tradycji, podnosi wartość tych ostatnich w naszych własnych oczach. Kto był z anglikami na procesji Bożego Ciała w Złakowie pod Łowiczem, ten nigdy nie zapomni łez wzruszenia, jakie u obcych przybyszów wywołała potęga nastroju religij-

nego, skupienie i powaga rozmodlonego ludu, tradycyjny majestat obrzędowy. Były to wrażenia, wychodzące daleko poza granice t. zw. „porozumień intelektualnych“, sięgające do najgłębszych podkładów duszy ludzkiej, tam, gdzie naprawdę człowiek człowiekowi jest bratem i bliźnim.

Utkwiły mi w pamięci twarze naszych gości kongresowych w dwóch momentach: w chwili przybycia na dworzec i w chwili odjazdu z Warszawy. Byli to inni ludzie. Przyjechali nieufni, wyczekujący, raczej obojętni. Odjeżdżali rozrzuwieni, promieniący, serdeczni. Prostu, rozsmakowali się w Polsce. Czy długo będą o niej pamiętać? Zapytamy ich o to na najbliższym kongresie.



JADWIGA KORCZAKOWSKA

1)

## GAŁĄZKA AKACJI

Właściwie, jakie jest życie?

Dobro i zło. Światło i mrok. Nieskończoność myśli.

Czy aby tylko nieskończoność?

Schyla się nad książką głowa, oblepiona ciemnym połyskiem włosów. Ciężkie rzęsy nie zasłaniają dokładnie ulicy, wgłębionej między makiem druku, a szarym blokiem przeciwległej kamienicy. Ruchome, sobie żyjące dłonie piszą po szybie tysiączne znaki zapytania. Palce wytłaczają niewidzialne różne gwiazdy, wikłają węzły, wodzą linje, aby potem nagle, ostro przekreślić serdeczną pisaninę jednym pociągnięciem i znowu uchwycić szorstki papier książki:

„... walka Franciszka I z Karolem V trwała od roku 1522 — 1544. Z początku Franciszek I zagarnął Medjolan, ale na krótko, gdyż wkrótce odniósł klęskę pod Pawją w r. 1525...“.

Ulica jest życiem na teraz, jest życiem i ruchem ludzi, których się zna; ludzie z historii, jak marjonetki w nudnym teatrze, sprzeczą się, biją, martwią, godzą, właściwie jakby naumyślnie, żeby trzeba było lepić w mózg rzędy namolnych dat, nazwisk (taki sobór, bitwa, schizma, czy inna awantura, to są przecież rzeczy nieważne, nikłe, niepotrzebne do życia na dziś).

Gorąco. Ludzie uwijają się po ulicy, jak mrówki. Samochody przejmująco skrzeczą i wznoszą aż do trzeciego piętra kłęby gryzącego kurzu. Tuż za szybą, na dole, kwitnie akacja. Niedawno była zupełnie bezlistna, brzydka. Teraz wdzięczą się kremowe kiście

kwiatów (ale, niestety, nie można sięgnąć po nie!). Z jednej strony okna jest zaciszne pudełko pokoju, a z drugiej — zgiełkliwy świat.

„...wielki sprzymierzeniec Franciszka I, Soliman II Wspaniały, zajmuje porty Kilję i Białogród, idzie na Serbję, gdzie zdobywa Belgrad...“.

Więc tak: najpierw te wszystkie wojny, spory, ustawy, ludzie z berłami, w togach, w biretach, królowie, lennicy — a potem jest terazniejszość: szkoła, a jeszcze potem (po maturze!) będzie można razem z zupełnie dorosłymi ludźmi iść w nowe życie korytarzem ulic. Nic nie pomoże tęsknić do tego już teraz. Nic nie pomoże myśleć, dlaczego jest tak, a nie inaczej. „Kucie“, myślenie „naprawdę“ i ulica — to trzy elementy, które nie dadzą się łatwo pogodzić. Tam, na dole, płacze się tyle zagadnień, które trzeba szybko rozwiązywać i albo wyrzucać od razu zpowrotem na ulicę, albo garnąć do siebie.

I tak: idzie nędznie ubrane dziecko; głupstwo! ostatecznie napewno jakaś pani od Wincentego à Paulo wyszukała mu ochronkę. Przecież co wieczór niemal matka Dosi chodzi na dobroczyenne kawki.

Dalej: pijany obdartus chwieje się na środku ulicy; — to coś bardzo obcego, brzydkiego; zresztą, do niego jest policjant. Ale jak sobie poradzić z kobietą, co płacze, wlokąc się do bramy? Napewno nie może przenieść sama jakiegoś zmartwienia. Albo, jak ulokować między sercem, a książką, pogrzeb, który czarnym strachem trumiennego pudła wlecze przez oży-

wioną ulicę rozpacz śmierci? Trzeba odmówić prędko, żarliwie Zdrowaśkę i zrzucić przemocą z kart druku cień niezrozumienia.

„...pokój roku 1529 w Cambré we Flandrji był potwierdzeniem Madryckiego...“.

Z zakrętu wybiegły roześmiane pensjonarki, gestykulują radośnie. Za pogiętymi żebrami balkonu przeciwnej kamienicy stoi kolorowo ubrana dziewczyna; już z trzecim przechodniem rozmawia na migi (dlaczego jest tak źle wychowana i co właściwie sobie myśli?). Tyle, tyle jest pytań, na które nie można samej odpowiedzieć. Tyle jest wątpliwości, których nie ma kto rozproszyć (Dosia jest bardzo, bardzo sama).

Przebiega szybko dwoje ludzi — trzymają się pod rękę — ach, to zakochana para, to małżeństwo! Tak, jak rodzice. Tylko, że mama nie kocha ojca. Nie kocha także jej, Dosi. Mama — a właściwie poprostu: Nina — jest piękna (o wiele ładniejsza od Grety Garbo!). Jest zawsze zajęta sobą. Nie można jej powiedzieć nigdy: mateczko, wytłumacz mi, dlaczego... Zawsze jakaś kawka, dancng, modystka. Nina jest śliczna i jeszcze bardzo młoda. Trzeba ją całować w niebieskie oczy, kiedy przychodzi i pyta słodko:

— Dosiu, czy dobrze mi w tym szalu?...

„...król Anglji, Henryk VIII, stojąc po stronie Habsburgów...“

Bzy dawno przekwitły. Gdzieś, za blokami kamienic, rozsypał się po aksamitach łąk czar wiosny. Spadły śniegiem kwiaty grusz i jabłoni. Gdzieś, za dymami aut, blisko, a nieuchwytnie daleko, czai się parny oddech lata i uśmiechają się poziomkowym uśmiechem wakacje (wakacje — w-akacje — iść w białe akacje... — jak to ślicznie brzmi!).

— Dosiu, dowidzenia! Zobacz, czy ładnie mi w tym kapeluszu?

To matka. Wychodzi często. Odkąd zakwitła akacja — codziennie. To matka. Strojna, nieuchwytna, jak pachnący obłok, tajemnicza i śliczna.

— Dobrze, świetnie, Ninuś!... a gdzie idziesz?

— Popatrz, kochanie, czy dobrze pomalowane mam usta?

— Dobrze, Ninuś... Kiedy wrócisz?

— Pewnie późno. Idę na raut. Będziesz dziś wieczór sama, bo ojciec telefonował, że wyjeżdża na wieś do chorego. Dowidzenia! Nie całuj tak mocno, bo zerziesz puder!...

To matka. Zostawiła po sobie uśmiech piękna, smugę cudownych perfum. Drażniącą, ciepłą (to te bardzo drogie „Narcisse noir“). Tak co wieczór. Najpierw dzwonek telefonu, potem śpiewny, lekki ruch za tapetą w niebieskie ptaki, krótkie pożegnanie i pochłanianie ją ulica. O... jeszcze drży na wietrze różowa

gaza sukni, jeszcze kołyszą się zgrabnie szczupłe biodra... znika na zakręcie trochę zbyt pośpiesznie, nerwowo.

— Masz śliczną i młodą mamusię — mówią koleżanki.

Troszczka, odrobina zazdrości kłuje w serce. Bo Dosia wcale nie jest podobna do matki. Duża, bu-re, gładkie włosy, brzydka cera, czerwone ręce. Czarne, ponure oczy, podobne do oczu ojca. Ojciec cały dzień spędza w klinice. Przychodzi późno, czyta dziennik. Pachnie chlorkiem i eterem. Jest bardzo poważny i niedostępny. W niedzielę chodzi z córką w Aleje, a wieczorem sam na szachy. Z matką Dosia nie chodzi nigdzie, odkąd powiedzieli na jednej wizycie: „ależ ta córa panią kompromituje!“. Dosia spłonęła rumieńcem i było jej bardzo żal Niny. Teraz już nie chodzą razem. Matka ma swoje życie — Dosia ma swój pokój, szkołę, książki i własne myśli.

Zmierzcha. Ostatnie promieniste wstążki ześlizgnęły się z dachów (ciarki chodzą po głowie, plecy bolą). Za parapetem na kremowych gronach akacji zwi-sa lenistwo. Już druku nie widać; wzdłuż ścian otwierają się oświetlone oczy okien. Ulica szybko tonie w sinawych oparach wieczoru. Trzeba czempędzej schwy-cić trochę swobody, dotknąć ustami powietrza, spoj-rzeć zbliżka na liście parkowych drzew!

...Co to jest mrok?...

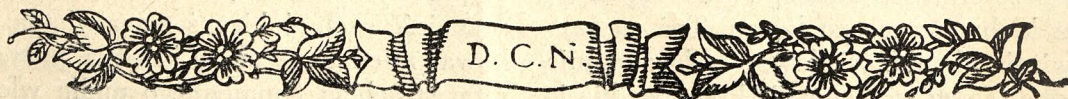
...To jest szary, czasem niebieski aksamit. Aksamit zakurzonej bombonierki, w której śpi puchowe rozmarzenie.

Położyć głowę miękko na kwitnących akacjach, na zieleni... Patrzeć w niebo błękitne, bez końca błękitne... Spotkać szczęście, zobaczyć, twarzą w twarz...

\* \* \*

Ucisza się samochodowy zgłęk. Ulica jest długa, długa... Zanurzyć się raz w odmęt tego życia, tych nieznanomych ludzi, iść razem z nimi, z dorosłymi, pod prąd!

Spada z głuchym łoskotem z kolan, podręcznik historii, spadają z myśli wojny, pokoje, reformacje. Beret na włosy, szybki, zdecydowany wybieg na schody, w zakręt, w ulicę, w ogród! Latarnie mdło, równomiernie rozpruwają gęsty mrok alei. Parno, duszno, dziwnie. Nogi niosą trwożliwie (trochę za prędko) między tłok ludzki. Powietrze pachnie benzyną, potem, perfumami i asfaltem (nie można przeliczyć zapachów). Zupełnie inaczej tu wygląda, niż w niedzielne południe, kiedy idzie się z ojcem wolno i nudno. Teraz odczuwa się jakby bijącą od ludzi siłę, jakby lęk, jakby urok. Godzina późna, bardzo późna, wcale niema godziny... Jest jeden wielki, szumiący szeptami i śmiechem shocking.



IDA KOTOWA

## HROSWITA

(W TYSIĄCLECIE URODZIN POETKI)

(dokończenie)

2)

Mimo obfitego tłumaczenia się poetki w przedmowie do dramatów, nie możemy się dziwić, że jej przełożona i najbliższe otoczenie nie entuzjazmowało się do jej dramatycznej twórczości. Zrozumiemy to natychmiast, przyjrząwszy się tematowi, które uważała Hroswita za odpowiednie dla swego pióra, by pobożnego chrześcijanina odciągnąć od pogańskich zdrojności. Oto na sześć jej dramatów dwa są męczeńskie, w których Bóg w cudowny sposób broni dziewic chrześcijańskich przed pohańbieniem przez pogan; następnie tak nazwany „Calimachus“, pełen niezaprzeczonego piękna w szczegółach, jest jednak oparty na przykrym motywie miłości cielesnej w grobowcu, gdzie dopiero tylko interwencja sił nadprzyrodzonych chroni zwłoki pięknej Druzjany przed oszalałym z miłości Calimachusem. Wreszcie dwa ostatnie: „Abraham“ i „Pafnucjusz“ — obydwaj o pokutujących jawnogrzesznikach. W „Pafnucjuszu“ występuje piękna miłośnica Thais (rozślawiona w dziewiętnastym wieku przez powieść Anatola France), którą z natchnienia bożego nawraca i do okropnej pokuty skłania święty eremita, chytrze się wcisnąwszy w szatach miłośnika do jej komnaty.

„Abraham“, najbardziej nowoczesny dramat z utworów Hroswity, osnuty na podobnym motywie: oto święty pustelnik, opiekun pięknej Marji, po długich szukaniach znajduje zbłąkaną wychowankę w domu publicznym i słowami, pełnymi miłosierdzia, odzyskuje ją dla pokuty i życia wiecznego. Psychologja Marji jest subtelnie zaznaczona. Widzimy ją w pierwszych scenach, jako małą dziewczeczkę, chowaną przez swego przybranego ojca dla ideału czystości dziewiczej na oblubienicę Chrystusa. I oto po latach kilkunastu stary Abraham, zrozpaczony, tonie w bólu: jego wychowanka została uwiedziona przez jakiegoś fałszywego świętoszka i, zwątpiwszy o miłosierdziu Pańskim, poszła w świat na zatracenie. Następuje akt trzeci, pełen cyniczno-okrutnego realizmu i świętej wzniosłości. Oto Abraham, przebrany, przy wesolej biesiadzie z największym wysiłkiem opanowuje wewnętrzny szloch serca i, aby się przedwcześnie nie zdradzić, stara się wesolemi żartami dostroić do rozpustnego otoczenia. Jednak Marję ogarnia jakieś niepokojące wspomnienie chwil, kiedy życie jej było jeszcze czyste, a myśl niewinna, ale otrząsa się zeń szybko, nadrabia przymilną zalotnością. Czwarty akt w sypialni Marji: Abraham, zostawszy z nią sam, daje się jej poznać. Marja ze wstydu pograża się w rozpacz. Słowa jej przybranego ojca, pełne przebaczenia, pokazujące miłosierdzie boskie dla szczerze pokutujących, wzruszają Marję do głębi. Skruszona, posłuszna słowom starca, wyrzeka się świata i ludzi, idzie do samotnej celi, żyje z myślą o pokucie. Abraham zaś zanosi modły dziękczynne do stóp tronu Najwyższego, że pozwolił mu wyrwać z siodeł djabełskich przepiękną duszę Marji.

To streszczenie daje nam pojęcie, jakie poplątanie motywów wzniosłych i scen frywolnych mieściły w sobie sztuki pobożnej mniszki.

W postaci Marji widzimy niewątpliwie pewien rozwój psychologiczny; w innych dramatach jeszcze tylko Druzjana zdradza nadwyraz delikatny odcień miłości słowa Calimachusa odpowiada wprawdzie dumą i wzgardą, lecz następnie Boga prosi o śmierć, bo jest zatrwożona w duszy, boi się, że ulegnie, że nie zawsze zdoła odpowiadać tak lodowato na gorące uczucie pięknego młodzieńca. Tę sztukę mają przeważnie krytycy na myśli, gdy zestawiają Hroswitę z Szekspirem. Istotnie scena pierwsza i ostatnia Calimacha mają pewne punkty styczności z „Romeo i Julją“. W scenie pierwszej, tak Romeo, jak Calimachus zwierzają się przyjacielowi z miłości w dość podobny sposób, krążąc oględnie, zanim powierzą powiernikowi prawdziwe imię ukochanej. Podobnie w końcowych scenach rzecz rozgrywa się w grobowcu: w naszych oczach pozornie umarli zmartwychwstają. Jak u Szekspira ojciec Laurenty, tak u Hroswity sam święty Jan budzi do życia bohaterkę. Podobieństwa te, bardzo powierzchowne, dowodzą, że Hroswita na 600 lat przed Szekspirem miała wycucie motywów nowożytnego dramatu.

Oczywiście, oceniając te dramaty, nie można do nich przykładać miary tragedji klasycznej, ani nam współczesnej, a trzeba uzmysłwić sobie, że wiek dziesiąty — to czasy największej ciemnoty, największego barbarzyństwa. Ostatnie echa kultury starożytnej przebrzmiały już przed wiekami, a nowa kultura, którą my określamy, jako średniowieczną kulturę rycerską, i jej poezja jeszcze się nie narodziła. Tradycja wielkiego teatru klasycznego wygasła doszczętnie, nawet w jego rodzinnej ziemi, a do napół barbarzyńskich plemion saskich wogóle nie dotarła; co najwyżej mimy ludowe, tu i ówdzie zawleczone z krajów łacińskich, mogły rozweselać gminne umysły rubaszniemi conceptami.

Przedewszystkiem trzeba sobie zdać sprawę z tego, że dramaty Hroswity przeznaczone były tylko do czytania, że wcale nie mogły mieć pretensji do sceny. Niektórzy krytycy (szczególnie francuz Ph. Chasles) twierdzili, że sztuki te nie tylko były grywane, ale nawet że to się działo w samym klasztorze i że same mniszki były aktorkami. Pominąwszy już całkowitą nieznaną sztukę teatralnej w owych czasach, wszystko to razem jest nie do pomyślenia: wszakże w wiekach średnich uchodziło za ciężki grzech przeciw skromności kobiecej przebrać się w strój męski, a jeszcze mniej jest prawdopodobne, żeby zakonnice odgrywały role nierządnic, chociażby z jak największym przejęciem się potrafiły oddać nawrócenie, i najgłębszy żal za grzechy, i najdroższą pokutę.

Jeżeli komedjopisarze rzymscy byli uwielbiani przez tę, zresztą niezbyt liczną, garstkę ludzi, którzy w Saksonji w dziesiątym wieku nie tylko byli biegli w sztuce czytania, ale wogóle jakkolwiek zajmowali się literaturą, to wystarczyła im w zupełności lektura

i nie marzyli o żadnych przedstawieniach teatralnych.

Mimo wszystko, dziś trudno nam pojąć całą niezwykłość poczynania Hroswity, przedstawia się ono raczej jako „naśladownictwo”; tymczasem w dobie, kiedy jeszcze nawet zawiązku przyszłego naszego nowocześniejszego dramatu, a raczej literatury dramatycznej, śladu dostrzec nie można było — dramaty Hroswity otwierały całkiem nowe horyzonty. Były zjawiskiem niezwykłym, przed którym wzdrzygało się konserwatywne poczucie kultu literatury klasycznej, cechujące uczonych i literatów, współczesnych poetce.

Ostatecznie ksieni, zawsze niechętna tej pracy swej wychowanki, potrafiła ją zwrócić w innym kierunku: dała jej bowiem zaszczytne zlecenie opiewania dziejów rodu fundatorów klasztoru, dawniej tylko książąt saskich, teraz już cesarzy rzymskich narodu niemieckiego. W tych „Gesta Odonis” przebija się umysł kobiecy autorki, który wprawdzie wielkimi czynami wojowniczymi swych bohaterów jest olśniony, jednak prawdziwie z głębi serca wielbi chwile, w których jej bohaterzy nie mieczem, ale pokojem uszczęśliwiają swoje państwo, gdy troszczą się i utwierdzają cichą pomyślność i dobrobyt poddanych. Kobięce pióro zdradza się i szczególnie zainteresowaniem się losem kobiet, zrozumieniem i wczuciem się w ich położenie. To też w tych „Czynach Ottonów” bardzo okazałe miejsce zajmują karty, poświęcone żonom i córkom władców Saksonji.

Poemat ten jest dla historyków skarbnicą różnych rysów obyczajowo-kulturalnych. Chociażby, np., taki obrazek: księżniczka frankońska Edita, przybywająca do Saksonji na swój ślub z nieznanym jej księciem saskim, wiezie w orszaku dodaną jej przez rodziców młodszą siostrę swoją Adivę, żeby książę saski mógł między nimi wybrać.

Po tem dziele napisała jeszcze Hroswita ostatni swój poemat, omawiający dzieje klasztoru. Poemat ten opromienia głęboka wiara autorki w cudowne powstanie klasztoru i jej wzruszenie dziękczynne za nieustanną opiekę boską i świętych Pańskich, jakie otaczają ten przybytek pobożnych mniszek.

Tak „Gesta Odonis”, jak i „Primordje”, bardzo cenne dla historyków kultury, nie miały już dla rozwoju literatury oryginalnego znaczenia jakiejś niebywałej nowości.

Wielka szkoda, że Hroswita swoje dzieło urywa przedwcześnie i nie opiewa już swoich własnych czasów. Wyplęnięto to może poczęści z osobistej skromności poetki, a może i z przekonania, że w „Primordjach” współczesność byłaby nie na miejscu. Stąd też wiemy tak bardzo mało o niej samej. Wszystkie wyżej podane szczegóły o jej osobie i życiu możemy tylko pośrednio wywnioskować ze skąpych wzmianek w jej przedmowach do różnych dzieł. Kiedy umarła, nie wiemy. Zresztą, nawet data jej urodzin, ostatnio przyjęta na prawdopodobny rok 930, przez długi czas wahała się między rokiem 925 a 945. Twórczość li-

teracka przypada na lata od 960 do 970, czyli na epokę, kiedy Dąbrówka dopiero pierwsze kroki stawiała na ziemi polskiej.

Swoiste powody złożyły się na to, że dzieje nie przechowały dla potomności żadnych szczegółów o Hroswicie. Z natury bowiem rzeczy powinna się była pamiętać uczona poetka-mniszka i kult jej dzieł przechowywać w klasztorach kobiecych. Tymczasem stało się wprost odwrotnie. W zakonach zapanowało przekonanie, że uczoność gubi dusze kobiece, że pod żadnym warunkiem nie wolno dawać kobietom karmi dla wyobraźni. Zaprzestano nawet nauki łaciny poza okruciami koniecznymi przy służbie kościelnej w życiu klasztornej, by przypadkowo siostry nie nabrały ochoty zapoznawania się z literaturą piękną klasyczną. Toteż w takich warunkach dzieła, a nawet imię sławnej z uczoności kobiety, i do tego jeszcze mniszki, musiało ulec bezwzględnej wygasłej ciemności, ogarniającej klasztory kobiece, wchłonęła i świetny ongiś klasztor w Gandersheim. W niej się rozplynęła doszczętnie sława Hroswity i jej pism. Nie zostawiła więc żadnego dziedzica swej myśli literackiej, nie wywarła żadnego wpływu na kształtowanie się literatury. Stulecia minęły, zanim powolny rozwój nowożytnej sztuki dramatycznej doszedł do wyżyn, na których ongiś stała śmiała stopą biała mniszka średniowieczna z Gandersheim.

W Szekspirze, Calderonie, w „Goetzu von Berlichingen” Goethego doszukują się nowocześni krytycy podobieństwa z dramatem tego, przez tyle stuleci zapomnianego, „Donośnego głosu z Gandersheim”.

Po wiekach zapomnienia, zasługa „odkrycia” Hroswity przypadła w udziale uczonemu humaniście z XVI wieku, dobrze znanemu na krakowskim gruncie piewcy urody mieszczyki krakowskiej Hazeliny. Mianowicie Konrad Celtes natrafił przypadkowo na rękopis utworów Hroswity i wydał go, ozdobiony sześcioma rzeźbami Albrechta Dürera. Jak imię poetki zupełnie zniknęło z pamięci ludzkiej, świadczy najwymowniej fakt, że w XIX wieku uczony profesor wiedeński Aschbach twierdził, iż cała Hroswita — to tylko zręczna mistyfikacja Celtesa. Charakterystycznym jest, że pierwszymi, którzy się zajęli Hroswitą, byli francuzi; oni ocenili jej niebywały talent i znaczenie. W zeszłym stuleciu doczekała się „Thais” w Paryżu przedstawienia w teatrze marjonetek i natchnęła Anatola France’a do jednej z najlepszych jego powieści.

Z postępowaniem i pogłębieniem znajomości historii i literatury średniowiecznej w Niemczech, nauka coraz większym szacunkiem otacza dzieła i usiłowania Hroswity. Coraz wyraźniej się uwypukla wielkość i oryginalność talentu i umysłowości, przerażająca tak niebywale swoją współczesnością. To też coraz jaśniejsza, coraz świetniejsza, lecz zarazem coraz bardziej samotna wychyla się ku nam z mroków dziejowych postać uczona mniszka z Gandersheim.





## MALARSTWO KOBIECE NA OSTATNICH WYSTAWACH



Jadwiga Rymkiewiczowa: „Portret“.

Pojęcie kryzysu prześlada nas dzisiaj na wszystkich polach i we wszystkich dziedzinach. W każdej płaszczyźnie zdajemy się wyzwalać mozolnie naszą świadomość z pewnych form zwiotezających już i przewiedłych, bezsilnie opadających — a natomiast nowych kształtów, nowych możliwości wyrazu z pasją i rozgorączkowaniem, jakkolwiek najczęściej po zupełnie błędnej linii, silimy się dokopać. Ten moment pewnego, jeśli wolno się tak wyrazić — „braku stabilizacji“ nie jest zresztą szczególnie nowy i niezwykły w dziejach ludzkiej kultury; lecz może w obecnej chwili specjalnie charakterystyczna jest nasza czujna świadomość, nasze ostre wycucie tej tymczasowości, braku gruntu pod nogami, niepewności wewnętrznej.

Jeżeli ten kryzys, który tak nieomylnie daje się wyczytać z cedul giełdowych, z prognoz i konjunktur dla przemysłu i rolnictwa, z przewartościowań, dokonywujących się nawet w domenie nauki — dotyczy również wszystkich (w mniejszym lub większym stopniu) gałęzi twórczości artystycznej, to niewątpliwie przede wszystkim zawisł szczególnie ciężko nad tą sztuką, którą Lionardo da Vinci uważał za „najpierwszą“ i „najszlachetniejszą“ — nad malarstwem. Twierdzenia, wygłaszane niezmiennie z absolutną pewnością o „końcu malarstwa“, dowodzą oczywiście tylko powierzchownego posługiwania się ogromnie wąskim wycinkiem historycznym, na którym przeprowadza się analogje. Malarstwo, oczywiście, nie „skończyło się“ — przechodzi tylko obecnie jakąś fazę rozwojową, po której przekształci się w sensie, dla nas dziś jeszcze niemożliwym do określenia. Ta zaś pew-

na płynność przejawów, wybitna dysproporcja między ową coraz silniej zaznaczającą się potrzebą celowości, a nieistotnym „cyzelatorstwem“, pojęciem zarazem w sensie najlepszym i najgorszym, zarówno od strony formy, jak od strony wewnętrznego nastawienia — występuje w tej chwili tem jaskrawiej, że wszystko w nas domaga się szczególnie intensywnie właśnie w szerokich, śmiałych liniach rzutowanej syntezy — zamiast drobnych, rojnych punkcików i plamek.

Dlatego drażni nas pojęcie wystawy, jako takiej: nikomu właściwie do szczęścia niepotrzebnego zbioru przypadkowych kawałków płótna, zasmarowanych w mniej lub bardziej kulturalny sposób farbą. Obraz stalugowy? — przeżytek! A więc ściana drewniana lub kamienna? Ale gdzież jej szukać, gdzież ją znajdą te setki i tysiące artystów, którzy przecież wszyscy bez wyjątku mają prawo do wypowiedzenia się? A zresztą — dlaczego się dobrowolnie ubożyć? Istnieje niewątpliwie pewien typ wrażeń, który się nie da nigdy osiągnąć inaczej, jak właśnie poprzez technikę olejną lub akwarelową, stosowaną na drobnym obrazku stalugowym. Żaden rodzaj sztuki nie ginie, jak się zdaje — zmieniają się tylko i przedstawiają płaszczyzny, na których się go stosuje. Cała rzecz w tem, że właśnie dotąd większość artystów, których prace ogła-



Elżbieta Hirszberzanka: „Dziecko z mandoliną“.



Władysław Szynkler: „Św. Wojciech”.  
(Fresk)



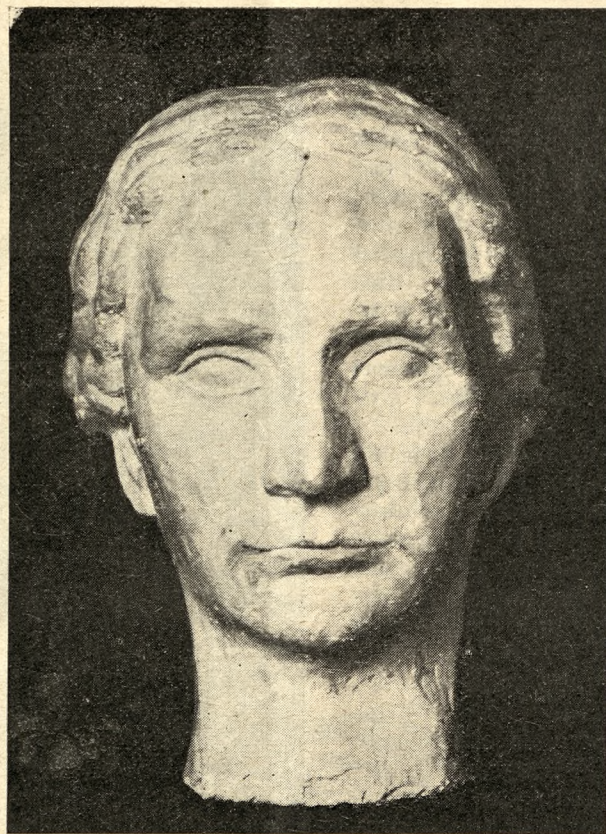
Dowkontt Helena: „Dziwczynna z dzbanem”.  
(Fresk)



Blanka Mercère: „Święta Cecylja”.  
(Fresk)

damy na ekspozycjach, organizowanych naogół dość bezplanowo i jakgdyby *nieodpowiedzialnie* — nie zdobyła się na przedstawienie owych płaszczyzn.

Wystawa grupy artystów p. n. „Fresk” w Salonie Garlińskiego wskazuje również na owo pewne błędzenie po omacku, na owo czyhanie na tę prawdę, która stanie się wielką prawdą dnia jutrzejszego. Wynikiem — duże nieporozumienie, jakkolwiek podyktowane bardzo szlachetnymi intencjami. Pani Blanka Mercère, założycielka i przywódca grupy — wypowieda swoje tęsknoty mistyczno-religijne za pomocą techniki tak przebrzmiałej, że aż zdającej się dzisiaj nową — we fresku. Fresk — to farba, nałożona na świeżo otynkowany mur. Fresk — to technika charakterystyczna niejako dla epoki, dla której treścią najistotniejszą były właśnie treści psychiczne, wyrażane dziś przez p. Mercère i jej szkołę. Ale podobnie, jak wypowiedanie w owych czasach (XIII, XIV w.) tego typu wierzeń religijnych było niezłomie koniecznym, psychicznie i fizjologicznie niemal umotywowanym następstwem rzeczywistych



Helena Zielińska: „Głowa matki”.

przeżyć — podobnie taka właśnie, a nie inna technika malarska wpływa z konieczności, z rozporządzenia takim tylko, a nie innym materiałem, z natury i gatunku posiadanych narzędzi pracy.

Dziś możliwości są zgoła odmienne. Wobec nowych, dziś używanych coraz częściej materiałów architektonicznych, technika „al fresco” w praktyce nie zawsze jest aktualna. Zaś oddanie tych — niegdyś bardzo cennych — walorów techniki w służbę znów „stalugi”, odgraniczenie płaszczyzn ramami i uczynienie z nich znów tych samych „obrazów”, traktowanie ich poprostu tak, jak olejną farbą pokrytych płócien — nie jest chyba celowe. W tego rodzaju bowiem „kompleksach” farba olejna, względnie akwarela, dają bez porównania lepsze wyniki artystyczne.

W każdym razie to sięgnięcie do dawnej techniki świadczy o przesyce naszej „tymczasową rzeczywistością”. Związane z tem pewne poszukiwania dekoracyjne idą po linii ogólnych poszukiwań naszej epoki i potwierdzają w pewnym sensie coraz bardziej uświadomianą sobie potrzebę *monumentalności*.

Poprzednia wystawa w Salonie Garlińskiego: młodej grupy artystek, występujących pod zawołaniem „Koloru“, pozwoliła na zdanie sobie sprawy z drogi rozwojowej, jaką te niedawne jeszcze uczennice Szkoły Sztuk Pięknych przebyły. Ów nagłówek „Kolor“ determinuje kierunek dążeń, które idą mniej więcej po linii poszukiwań barwnych dzisiejszego „centrum“ francuskich malarzy. Przyczem twórczość p. Hirszberżanki należy tu postawić nieco na boku: charakterem swej faktury i budową formy (szerokiej, syntetycznej) różni się ona od bardziej malarskiego — w sensie dążności do jaknajwiększego zróżnicowania tonów — ujęcia pp. Littauerówny i Hufnaglówny. Na leży podkreślić duży postęp w opanowaniu techniki olejnej i akwarelowej, a zarazem ciągłą wyraźną niepewność w wyborze własnych dróg, jeżeli chodzi o samo podejście do rzeczywistości — niepewność i szukanie. zresztą bardzo szlachetnej natury — u wszystkich bodaj trzech artystek.

W Związku Zawodowym (przy ul. Marszałkowskiej 69), wystawiają pp. Rymkiewiczowa i Zielińska. Prace olejne p. Rymkiewiczowej, przeważnie portrety, idą po linii dość szablonowego realizmu — realizmu, częstokroć jeszcze przed-impresjonistycznego, jakkolwiek na kilku jej pejzażach impresjonizm wyraźnie zaważył. Akwarele p. Zielińskiej zdradzają dużą lekkość kolorystyczną i umiejętność zestawiania drobnych sztafaży. Oprócz akwarel p. Zielińska wystawiła parę rzeźb. l. j.



Gizela Hufnaglówna: „Sklepik“.

## OCHRONA KOBIET W PARLAMENCIE ANGIELSKIM

Gdybyśmy powiedzieli, że parlament angielski nie zajmuje się polityką, byłby to nielada paradoks. Ta najstarsza (poza legendarnym niemal Althingiem islandzkim) instytucja parlamentarna w Europie jest przecież chyba tylko do „robienia polityki“. Nie wewnętrznej zresztą jedynie, ale i wszechświatowej, na której wielokrotnie zaważyła w wydatny sposób.

Bez względu na to, trafiają się w historii każdego roku parlamentarnego w Anglii posiedzenia, wypełnione debatami i walką stronnictw, dni burzliwe (o ile możliwa jest burza angielskiej flegmy), dni, po których przychodzi czasem zwycięstwo, a czasem rozdzielenie jakiegoś wielkiego stronnictwa, nawet zmiana kursu władzy politycznej. Ale, rzecz znamienne — dni te są rzadkie.

Zasadnicze zmiany dokonywują się zwykle ewolucyjnie, prawie niewidocznie. Tak niewidocznie przesunęła się w ostatnich latach sfera wpływów wielkiej ongi partji liberalnej na stronę partji pracy, bez walki ostrej, bez wstrząsów: tak dziś zaczyna — nie rozłamywać się, broń Boże! — przemieniać tylko, sama partja pracy; w podobny sposób „walczą“ z partją pracy konserwatyści. Jest to walka bez boju, cicha i prawie niewidzialna.

Rząd Mac Donalda nie spełnił dotychczas pokładanych w nim nadziei. Trudności finansowe są ol-

brzymie, bezrobocie katastrofalne; wielkie konferencje polityczne — z rozbrojeniami włącznie — zrobiły, krótko mówiąc, klapę; zato wybuchło powstanie w Indjach.

Gdyby takie „sukcesy“ odnosił rząd w jakimkolwiek innym państwie europejskim, we Francji np., pomyślanoby napewno o jakimś „komitecie oczenia publicznego“, a stronnictwo polityczne, stojące u władzy, musiałoby staczać w parlamencie burzliwe walki. W Anglii istnieje jednak inne o tych rzeczach przekonanie, konserwatyści obiecują czekać spokojnie, czy i jak rząd Labour Party potrafi wyplatać się z położenia; podobno obiecują nawet czekać trzy lata! Ano — co kraj, to obyczaj — widocznie istnieje tam w społeczeństwie wielkie zaufanie do potęgi i prestiżu państwa i samego parlamentu.

Tajemnicą tej potęgi jest, zdaje się, jej wielka zdolność potencjalna pracy. Bardzo mało traci się tam czasu na słowa, a niezmiernie wiele załatwia spraw. Przytem uderzające jest, jak dużo tych spraw referowanych jest przez posłanki-kobiety i jaka ilość akcji dotyczy praw kobiet, dzieci i ulepszeń społecznych, z pracą kobiecą związanymi.

Prawda, że ministrem pracy i opieki społecznej jest kobieta, miss Bondfield; poseł jednakże liczy parlament angielski tylko czternaście. Pomimo tego,

rzadkie jest posiedzenie, na którym kobieta nie zabiera głosu, bądź jako referentka, bądź w interpelacji.

A oto obrazek z obrad w ciągu jednego tygodnia: Panna Hamilton (partja pracy) interpeluje w sprawie reform w inspekcji pracy: kiedy ogłoszone będzie sprawozdanie urzędowe? Odpowiada sekretarz stanu, mr. Clynes: w najbliższym czasie przedstawię Wysokiej Izbie żądane sprawozdanie. Sprawa zajmuje 3—4 minut.

Panna Wilkinson (partja pracy) zwraca się do sekretarza stanu z zapytaniem, czy odnośna komisja ekspertów opracowała już ostateczne konkluzje w sprawie narodowości angielskiej, zamężnych za cudzoziemcami, przyznania im praw zachowania swej narodowości i czy rząd zamierza przedsięwziąć natychmiastowe kroki w tym kierunku? Mr. Clynes odpowiada, że komisja zbadła tę sprawę w łączności ze wszystkimi poszczególnymi ustawami, obowiązującymi w Imperjum brytyjskim, i że opinia jej będzie umieszczona na dwóch stronicach ogólnego sprawozdania, które wkrótce opuści prasę. Rząd oczekuje rezultatów kodyfikacyjnej konferencji haskiej, w której wzięli również udział przedstawiciele dominjów angielskich; dopiero po ogłoszeniu uchwał tej konferencji, pan Clynes będzie mógł mówić o postanowieniach rządu w tej sprawie, zączębiającej się o wszystkie prawodawstwa państwowe w całym świecie.

Księżna Atholl (partja konserwatywna) interpeluje podsekretarza stanu kolonij dr. Shielsa, kiedy wejdzie w życie nowy kodeks karny, orzekający surowe represje za akty gwałtu, dokonywane nad dziewczętami w niektórych kolonjach pogańskich, w formie obrzędów obyczajowych. Dr. Shiels zapewnia „szlachetną lady”, że sprawa znajduje się pod obradami rady ustawodawczej kolonji Kenya (w której nadużycia te mają miejsce); sekretarz stanu kolonji jest w ciągłym kontakcie z gubernatorem kolonji, który oznajmił, że nowe prawo zostanie w najbliższym czasie wprowadzone.

Posel Grattan-Doyle informuje się, jakie władze policyjne zatrudniają policję żeńską i czy policjantki mają prawo aresztowania. Z odpowiedzi sekretarza stanu okazuje się, że kadry policjantek czynne są przy 41 instytucjach policyjnych, prawo aresztowania winnych ma 28 kadr; wyniki pracy tych kadr kobiecych są bardzo dodatnie.

Posel Mathers podnosi konieczność zastosowania w Szkocji prawa o zapomogach dla wdów i sierot, wprowadzonego w Anglii w r. 1926; minister-sekretarz przyznaje słuszność tej interpelacji, zaznaczając, że rząd zamierza rozciągnąć ów Bill na Szkocję.

Major Pole zapytuje ministra-sekretarza stanu Indyj, jaka jest wysokość sum, ściąganych drogą podatku na pomoc lekarską dla kobiet w Indjach (ochrona położnych i matek karmiących); okazuje się, że suma ta wynosi 370 tysięcy rupij rocznie i jest przekazywana przez rząd stowarzyszeniom opieki nad matkami w Indjach.

Wreszcie posel Sorenson występuje również w sprawie hinduskiej: jakie jest ustalone obecnie minimum wieku do zawarcia małżeństwa w Indjach (jak wiadomo, niedawno zniesione zostały tam małżeństwa między dziećmi) i czy zastosowanie nowego prawa natrafia na opór ze strony ludności? Minister-sekretarz Stanu Indyj odpowiada, że minimum wieku, potrzebnego do zawarcia małżeństwa w Indjach, wy-

nosi obecnie 18 lat dla mężczyzny, 14 dla kobiety. Wśród mas ludowych prawo natrafia, niestety, na opór, zwłaszcza teraz, przy wzburzeniu ludności w miejscowościach, objętych ruchem powstańczym. Władze jednak czynią wszystkie usiłowania łagodnego i powolnego skłonięcia opornych nie tylko do szanowania nowej ustawy, ale do zrozumienia, że została ona wprowadzona jedynie dla dobra ludności.

Jak widzimy, jest to w jednym tygodniu obrad siedm interpelacyj w sprawie praw kobiet i dzieci, przyczem trzy sprawy wniesione są przez posłanki, w czterech w interesach kobiet wystąpili mężczyźni. Ogólny ton obrad bije tętnem rzeczywistego, ciągłego, drobiazgowego niemal kontaktu parlamentu z rządem, obustronnych informacji, kontroli bardzo ścisłej, ale pełnej dobrej woli, dopingującej nieustannie, ale beznamietnej. Praca jest obustronna i realna. Przytem widać, jak poważnie i pierwszoplanowo traktowane są wszelkie sprawy, dotyczące ochrony kobiet i dzieci i jak wydatny udział biorą w tych pracach członkinie Izby.

E. Borowska-Treadwell.



Peter Nansen: „Niebezpieczna miłość” — romans. — Warszawa. Biblioteka Groszowa.

Temat dawno wyzyskany i zanalizowany! Podchodzi się doń już z pewnem uprzedzeniem, jak do banalności dawno znanych perypetyj miłosnych z nieodzownym „happy endem”, i... odrazu wchłania się atmosferę wielkiej świeżości i bezpośredniości.

Na tle, zda się, banalnych konfliktów Peter Nansen usiłuje sprecyzować wieczysty element walki i nieporozumienia miłości kobiecej i męskiej; różność nie jakości, czy natężenia, ale właśnie trwania.

Mężczyzna przechodzi przez miłość i idzie dalej; kobieta zahacza się o nią bezlitośnie sercem, i trwa tak, choćby jej zewnętrzny świat przybierał jaknajbardziej różnorodne formy.

Obok tego elementu w książce Nansena jest jeszcze coś, co zadziwia, jeżeli weźmiemy pod uwagę okres, w którym Nansen tworzył. Jest to poruszenie zagadnienia miłości nielegalnej. Właściwie zagadnienie to nie tyle jest poruszone, ile pominięte i przez to pominięte właśnie autor jaknajbardziej uwypukla swoją tezę: niema miłości nielegalnej — istnieje tylko miłość, jako taka.

„Niebezpieczna miłość” — jak brzmi tytuł, wydaje mi się w tym wypadku paradoksem (nie wiem, coprawda, jak brzmi tytuł w oryginale). Miłość rzeczywista zasługuje tylko na skonstatowanie jaknajbardziej subtelne, ale nigdy na osądzenie. To też Nansen nie osądza swej bohaterki, lecz pełen współczucia daje nam ją wprost z życia, w jaknajbardziej prostych, jej własnych słowach. Nie mniej jednak, może właśnie dlatego, charakterystyka Matyldy i obydwóch mężczyzn, zaplatających gordyjski węzeł tragizmu, jest świetna.

Książka naogół sprawia duże wrażenie odwagą poruszonego tematu, który w owym czasie — w czasie twórczości Nansena — był zazwyczaj traktowany z zupełnie innego punktu widzenia.

Z. M.

# Kobieta w świecie i w domu

## W SPRAWIE WYROKU ŚMIERCI NA KOBIETĘ

Od Zarządu Klubu Politycznego Kobiet Postępowych w Warszawie otrzymaliśmy odezwę treści następującej.

Sąd przysięgłych w Tarnowie orzekł karę śmierci w procesie Józefy Furdynówny, która zamordowała swe 5-miesięczne dziecko.

Dzięki apelacji, wyrok jest na drodze do skasowania. Odpowiedni wniosek ma być złożony na ręce Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą o ulaskawienie.

Klub Polityczny Kobiet Postępowych i podpisane organizacje społeczne zakładają protest przeciw temu wyrokowi, wyrażając nadzieję, iż nie będzie on wykonany i że odebrana będzie sądom możliwość wydawania tego rodzaju wyroków.

Klub Polityczny Kobiet Postępowych i podpisane organizacje żądają:

1) Ustanowienia prawa dochodzenia ojcostwa i wypływających zeń skutków prawnych, moralnych i materialnych dla dziecka.

2) Szerzenia zasad świadomego macierzyństwa.

3) Dopuszczenia kobiet do sądów przysięgłych.

4) Zniesienia kary śmierci w polskim Kodeksie Karnym (w myśl projektu Komisji Kodyfikacyjnej w II-gim czytaniu).

Klub Polityczny Kobiet Postępowych, wobec naglącego terminu sprawy, zwraca się do organizacji społecznych, stowarzyszeń i osób prywatnych, kobiet i mężczyzn, z gorącym apelem o podpisanie samorzutnie tej odezwy i współdziałanie z akcją Klubu w opinii społeczeństwa, w pierwszym rzędzie przez publikowanie w prasie solidarnych z naszym oświadczeń.

Zarząd Klubu Politycznego Kobiet Postępowych: Marja Kiernikowa, Dr. Justyna Budzińska-Tylicka.

Za Zarząd Polskiej Ligi Kobiet Pokoju i Wolności: Jadwiga Krawczyńska, Jadwiga Łypaciewiczowa.

Zarząd Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet: Wanda Drzewiecka, Zofja Moraczewska.

Zarząd Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem: H. Kasperowicz, Teodora Męczkowska.

## PANI TAFT W STOLICY POLSKI

W Warszawie bawiła parę dni pani Taft, żona zmarłego byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pomimo poważnego wieku (liczy 70 lat), pani Taft odbywa podróż po Europie samochodem. W Warszawie pani prezydentowa zwiedziła osobliwości miasta, różne instytucje społeczne i Wilanów, oraz wzięła udział w przyjęciach, zorganizowanych przez ambasadę i kolonje amerykańską.

## ZGON POETKI

W tych dniach zmarła we Lwowie znakomita poetka, ś p. Maryla z Młodnickich Wolska.

Piękne jej wiersze, z których najwybitniejsze zbiory wyszły pod tytułami: „Symfonje jesiennic”, „Święto słońca”, „Baśń o Prawdzie”, „Dzban malin” i inne, znała i czytała cała Polska. Krótką tę notatkę o zmarłej zamieszczamy przed wydrukowaniem obszerniejszego wspomnienia.

## JUBILEUSZ PRZEŁOZONEJ

W tygodniu ubiegłym odbył się w sali Stow. Techników obchód 50-lecia pracy pedagogicznej i 20-lecia kierowniczej, przełożonej gimnazjum żeńskiego, p. Władysławy Lange.

Przedstawiciel Kuratorjum warszawskiego, nauczycielstwo oraz licznie zebrani rodzice, b. wychowanki i uczennice składali jubilatce, znanej i zasłużonej w pracy, serdeczne życzenia. Po przemówieniach delegacji stowarzyszeń i osób prywatnych wręczono p. Lange piękny adres i dar na osiedle jej imienia dla uczennic.

## DLACZEGO NIEMA POLKI?

Między różnymi typami samolotów coraz więcej rozpowszechnia się awjonetka. Mała, bajecznie lekka, jest wzorowym jedno lub najwyżej dwuosobowym aparatem, mającym wielkie widoki w komunikacji turystycznej, na bliższe dystanse, pocztowej i t. p. Jest to typ samolotu przyszłości, używanego tak, jak np. wynajmowane lub własne auto. Nie znaczy to wcale, aby na awjonetce nie można było odbywać i najdalszych podróży; jako przykład, posłużyć może światowej sławy raid Amy Johnson. Corocznie też odbywają się raidy awjonetek, krajowe i międzynarodowe.

Polska ma w tym roku (we wrześniu) raid, którego trasa obejmuje całą Rzeczpospolitą. Odbędzie się również międzynarodowy raid europejski, do którego zgłoszono już 97 maszyn, w tem 14 z Polski. Do tego raidu staje pięć kobiet-lotniczek: sławna lady Bailey i Miss Spooner z Anglii, panie Colin i Hilche z Francji i p. Schultas z Niemiec. Niestety, niema dotychczas żadnej polki. A szkoda! awjonetka jest doskonałym aparatem dla sił kobiecych.

## LUCZNICZKI ĆWICZĄ SIĘ NA ŁĄDZIE I NA WODZIE

Do przemilego sportu luczniczego, tak doskonale nadającego się do ćwiczeń na słońcu i powietrzu, wprowadzane są



Luczniczka na łądzie.



Luczniczki na wodzie.

coraz nowe odmiany. Obecnie amerykanki uprawiają namiętnie aquaplane archery. Do motorówki, pędzącej całą siłą pary, przymocowana jest linami płaska deska, na której „pasażerowie” stoją, trzymając sznury, jak lejce. Motorówka holuje więc tę deskę i trzeba świetnego gimnastyka i pływaka, aby się na takim „statku” utrzymać, nie używszy kąpieli. Amerykanki są dobrze wysportowane, aby więc aquaplaning uczynić więcej zajmującym, dodały doń jeszcze jedno ćwiczenie: strzelanie z łuku w pędzie. Jedną z rąk trzyma sznury, jednocześnie obejmując i podtrzymując drugą, która naciąga łuk, mierząc do umieszczonej na wybrzeżu tarczy celowej.

#### O ILEŻ MAMY LEPSZE PRAWA!

Action Sociale de la Femme podaje dokładny szemat zawodów, w których kobiety, kończące we Francji studia prawnicze, mają szansę znalezienia zajęcia. Spis ten budzi w nas wrażenie, że w niektórych gałęziach administracji, ba! w wielu regulaminach i nawet ustawach panuje to, co trywialnie, ale słusznie określić można słowem: bałagan. I tak: w ministerstwie spraw wojskowych, owszem, urzędniczki-prawniczki przyjmowane są bez zastrzeżeń; tak samo w ministerstwach: lotnictwa, marynarki handlowej, poczt i telegrafów, oświaty, pracy, robót publicznych, higieny i opieki społecznej, w oświacie technicznej, w prefekturze policji i w biurach podatkowych. Zato w ministerstwie spraw zagranicznych dopuszcza się wprawdzie kobiety (od r. 1928-go, dzięki interwencji francuskiej Rady Narodowej Kobiet), ale tylko do służby wewnętrznej, o placówkach zagranicznych niema mowy. Sens moralny chyba taki, że we Francji pracować można gorzej, na zagranicę muszą być tylko extra pracownicy-panowie!

W prefekturze departamentu Sekwany kobiety zaczęły jednak, na przekór opinii, pracować tak dobrze, że przyjęto ich pewną ilość; pan prefekt tak się tem jednak przestraszył, że wydał dekret, aby już kobiet nie przyjmowano. To samo zdarzyło się w ministerstwie rolnictwa. Otwarty tam kobietom wstęp, od 1925 r. jest znów *wzbroniony*. W ministerstwie handlu to samo, również w ministerstwach: finansów, spraw wewnętrznych, kolonii, sprawiedliwości (o ironjo!), marynarki wojennej i w Banku Francuskim.

A więc: w ministerstwie wojny kobieta pracować może, w marynarce nie; w policji tak, ale nie w finansach — co za zhiór nonsensów!

Co do właściwych zawodów prawniczych, ten sam chaos: adwokatką kobieta we Francji zostać może, rejentką już nie; sekretarzem sądu, także niema mowy; zato może być profesorem prawa na uniwersytecie (w Rennes wykłada już kobieta); sądownictwo też jest zamknięte (tak, jak i u nas, niestety!).

W każdym razie, porównując swoje położenie obywatelskie i zawodowe z podobną sytuacją kobiet francuskich, polki mogą być zadowolone. Prócz owego nieszczęsnego sądownictwa, mamy wszędzie wstęp otwarty i zapewnioną konstytucją bezwzględną równość. Trzeba tylko jeszcze wyteńczyć siły, aby ta równość ustawowa stała się realną w życiu, o ileż to jednak łatwiej, mając prawo za sobą. Trzeba tylko wyzbyć się nieśmiałości, zdobyć pełnię kwalifikacyj, oraz odwagę cywilną i wiarę we własne siły.

#### KOBIETA SAMA ZAMIERZA PRZEPLYNĄĆ OCEANY.

Epoka wyczynów rekordowych zatacza coraz szersze kręgi i pobudza do czynu coraz więcej młodych umysłów. Raid Amy Johnson i pokonanie oceanu przez Kinsford Smitha rozpalają wyobraźnię. Obecnie znów donoszą z Paryża o planie niecodziennego rekordu: panna Wirginja Heriot, młoda, bogata sportsmenka, zdobywczyni licznych nagród sportowych, zamierza, na wzór Alain'a Gerbault przepłynąć sama jedna dwa oceany na maleńkim, 5 metrów długim stateczku. Panna Heriot popłynie z Hawru do Los Angeles, dokąd ma nadzieję przybyć za dwa lata, w 1932 r. na mające się tam odbyć igrzyska olimpijskie.

#### NIEWIDOMA PISARKA

Przed laty głośnie były pamiętniki i liczne książki słynnej pisarki Heleny Keller, która przyszła na świat głuchoniemą i niewidomą. Nieszczęśliwe dziecko, odcięte kalectwem od zewnętrznego świata, zdawało się skazane na zupełny zanik rozwoju umysłowego. Jednakże nauczycielka małej Heleny, osoba o wybitnych zdolnościach i niezwykle poświęceniu, potrafiła wykształcić dziecko tak, że kaleka została wybitną pisarką. Obecnie Helena Keller obchodzi pięćdziesiątą rocznicę urodzin, a książki jej, tłumaczone na liczne języki europejskie, znane są w całym świecie.



Helena Keller z rodziną i ulubionym psem.

## JAK NAJMNIEJ GRATÓW W MIESZKANIU

Prace nad uproszczeniem naszego życia codziennego należy rozpocząć od mieszkania, usuwając z niego wszelkie graty, zajmujące miejsce w pokoju, w szafach, na półkach, stołach i t. p.

Wyzbawiając się rzeczy zbędnych, zyskamy miejsce na przedmioty potrzebne.

Podobnie należy postępować z rzeczami rzadziej używanymi, przenosząc je z mieszkania do schowanków, antresoli, strychów, piwnic i t. p.

Przedmioty takie, po odpowiednim zabezpieczeniu, mogą pozostawać długo w schowankach, dając miejsce na rzeczy potrzebne w danym okresie lub sezonie, a zarazem uwolnią nas od zbytecznej pracy nad układaniem ich, odkurzaniem, przekładaniem i t. p.

Pomimo, że uświadamiamy jasno zbędność wielu przedmiotów, zapełniających nasze mieszkanie, nie umiemy sobie dać z nimi rady. Ta nasza niezaradność wynika głównie z braku odpowiednich schowanków gospodarczych w naszych mieszkaniach.

W nowych domach, gdzie prawie w każdym pokoju są szafy ściennie, a prócz tego istnieją różne specjalne schowanki gospodarcze, jak np. sionki na rowery, na walizki, na brudną bieliznę i t. p. — rozmieszczenie wszelkich przedmiotów w mieszkaniu jest bardzo łatwe. Tem się też tłumaczy brak gratów w nowym mieszkaniu, gdzie każda rzecz zyskuje odpowiednie miejsce, pozostając tam do chwili, kiedy z niej możemy zrobić należyty użytek.

Np. haki, obciążki i inne narzędzia do przybi-



*Pokój zagracony (podług „Wie wohnen“).*



*Ten sam pokój oczyszczony.*

ania, farby, oleje i t. p., używane do drobnych reperacji, mogą być przechowywane w schowanku, przeznaczonym na narzędzia do sprzątania mieszkania. Kapelusze letnie i garderoba letnia podczas zimy może być umieszczona na wysokich półkach w szafach ściennych. Latem umieszczamy na ich miejsce garderobę zimową. Brudną bieliznę przechowujemy w schowankach przy łazience lub w specjalnych przegrodach szaf ściennych. Ogrodnicze narzędzia trzymamy również w specjalnych schowankach. W takim mieszkaniu nic nie może zawadzać i nic nie tworzy nieładu i nieporządku.

Zrozumiawszy powyższe braki naszych mieszkań, radzimy sobie w sposób radykalny, lecz nie kosztowny.

W każdym mieszkaniu, nawet najmniejszym, możemy urządzić pakowne antresole. W tym celu należy zdobyć deski, przypilować je i zbić według danego wymiaru.

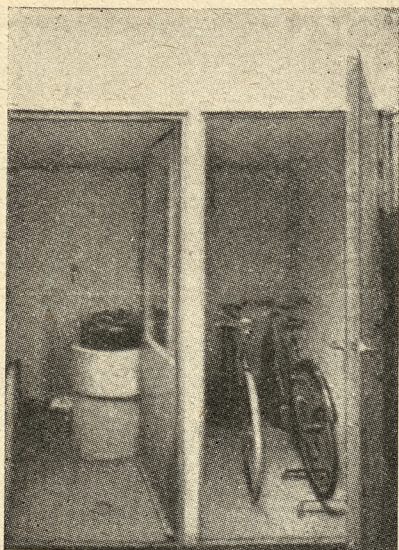
Antresolę najlepiej urządzić w sionce, w przedpokoju lub korytarzu nad drzwiami, niezbyt wysoko, by chowanie rzeczy na półki nie było zbyt utrudnione.

Półki te winny opierać się na listwach drewnianych, przybitych mocno do ścian, lub też na żelaznych kroksztynkach, jakie można kupić w odpowiednich sklepach.

Nad półką, umieszczoną pod sufitem, winien być umocowany dźwąg do zawieszenia kotary, która przykryje walizki, paczki i różne przedmioty, jakie tam przechowywać będziemy.

Prócz tego winnyśmy wyzyskać różne komórki gospodarcze, instalując w nich również półki i przegródki do przechowywania mniej cennych przedmiotów domowego użytku.

W obecnych ciężkich warunkach mieszkaniowych wydatek na założenie podobnych półek oplaci



Schowanko na rowery i walizy w nowoczesnym mieszkaniu.

się, gdyż zyskamy sporo miejsca, tak dla nas cennego.

Największą jednak przeszkodą w przeprowadzeniu podobnej reformy w dziedzinie sprzętów i gratów jest nasze przywiązanie do różnych drobiazgów, których nie odważamy się usuwać do miejsc drugorzędnych. Często zaś przeceniamy wiele gratów, przypisując im użyteczność, której dla nas nie przedstawiają. To też przechowujemy je całe lata, zanim zdecydujemy się na ich wyrzucenie, sprzedanie lub odstąpienie komuś innemu, kto potrafi lepiej je użyć. Do takich przedmiotów zaliczamy: flaszki groszowej wartości, połamane naczynia, lub nieużywane garnki; flakony do kwiatów, nieodpowiadające naszemu gustowi, książki szkolne z przed 20-stu lat, stare czapki i kapelusze, których nie przerabiamy, i t. p. i t. p.

Jak można oczyścić mieszkanie z różnych niepotrzebnych drobiazgów, przekonamy się z załączonego zdjęcia pokoju, utrzymanego na starą modłę, i tego samego pokoju, oczyszczonego z różnych zbędnych dekoracyj... Różnica jest wielka. Znacznie większy efekt osiągniemy przez usunięcie gratów w mieszkaniu, wyposażonym w ładne meble i sprzęty codziennego użytku, które w ogólnym chaosie giną i zatracają swoje piękno.

J. Ginett-Wojnarowiczowa.

## CZY TYLKO PERKALIKI

Panujące u nas przesilenie ekonomiczne zmusza do wynajdywania sposobów, aby je zażegnać. Ostatnim ratunkiem naszych finansów miały być perkaliki.

Te pogardzane dotąd perkaliki miały wnieść do kraju bogactwo przez zmniejszenie importu i dostarczenie pracy robotnikom łódzkim.

Samo zmniejszenie importu nie poprawi jednak radykalnie naszego stanu ekonomicznego. Prawda, że obniżenie skali życia i hasła oszczędnościowe są poważnym atutem przy wprowadzaniu równowagi budżetowej, ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba prócz tego wysilić wszystkie siły, aby podnieść eksport.

Trzeba zwrócić uwagę nie tylko na to, czego do kraju nie należy przywozić, ale przede wszystkim na to, co możemy od nas wywieźć. Zagadnienie to jest może jeszcze ważniejsze.

Jesteśmy krajem bogatym, brak nam tylko należytej organizacji do zużytkowania tych skarbów. Do wywozu mamy nie tylko węgiel i cukier, który sprzedajemy ze stratą; nie tylko zboże, które, wywiezione jesienią, wiosną często za podwójną cenę przywozimy. Do wywozu mamy dużo, dużo innych rzeczy.

Chcę tu podnieść sprawę szerszego eksportu kilku artykułów, które obcy chętnie od nas kupią, byle były podane w odpowiedniej formie.

Chodzi mi o wyroby t. zw. przemysłu ludowego, jak: kilimy, wszelakiego rodzaju welniaki, chustki krakowskie, galanterja zakopiańska, oraz zabawki. Wszystkie te rzeczy posiadamy w kraju naprawdę ładne i, mimo, że są wykonane w bardzo jaskrawych barwach i noszą wyraźną cechę ludowości, nie tracą nic ze swych walorów artystycznych.

Zagranicą — w Anglii, Ameryce i Szwajcarji — zainteresowanie temi artykułami jest duże.

Znam ochronkę, która w latach wojny utrzymywała około setki dzieci z wyrobu zabawek, robionych według wzorów staropolskiej choinki, które to zabawki wysyłano do Szwajcarji.

Harcerze nasi, jadąc na ogólny zjazd do Anglii, pozabierali rozmaite takie drobiazgi. Zostały one wprost rozchwywane, i młodzież przywiozła sporo obstalunków na różne ciupagi i inne pudełka z motywami ostów.

Widziałam kiedyś wycieczkę młodych kalifornijek w Sukiennicach krakowskich, jak z zapalem kupowały rozmaite rzeczy przemysłu miejscowego.

Eksport tego rodzaju, oprócz przyływu dolarów i innych funtów, miałby jeszcze i tę dobrą stronę, że popularyzowałby imię Polski.

Zagranica wie o nas bardzo mało — sama nie przyjdzie po szczegóły. Dowodem tego twierdzenia może być choćby to, że nawet w zaprzyjaźnionej Francji nie umieszczają o nas wzmianek w tak popularnym wydawnictwie, jak „Larousse”, który znajduje się w co dziesiątym domu polskim.

Gdy kto pali w piecu, to go zwykle mał obchodzi, skąd otrzymuje węgiel; gdy jednak będzie miał stale przed oczyma różne drobiazgi zakopiańskie, to siłą faktu musi się zastanowić nad krajem, który te rzeczy wytwarza.

Drugim artykułem eksportowym, mogącym zająć poważną pozycję w całym naszym handlu zagranicznym, są grzyby.

Niema chyba na świecie kraju, posiadającego taką ilość grzybów, jak Polska. My prawie jedni posiadamy jeszcze lasy samosiewne, grzyb zaś trzyma się wyłącznie tylko takich lasów: w lasach sztucznie sadzonych, czy nawet sianych, grzybów prawie niema. Zagranica, a zwłaszcza dolarami płacąca Ameryka, kupi od nas każdą ilość, pod najrozmaitszymi postaciami.

Z dziedziny drobiarstwa eksportujemy jaja, pierze, oraz żywe i bite ptactwo. To, co wysyłamy, stanowi zaledwie mały ułamek tego, co przy dobrej woli moglibyśmy wysyłać. Mamy szerokie pole do podniesienia naszego drobiarstwa, które często traktowane jest, jako zło, które możliwie zmniejszać należy. Powinno powstać jaknajwięcej ferm, produkujących jaja, tuczących drób; należałoby także zwrócić uwa-



gę na jedną gałąź tej produkcji, leżącą prawie zupełnie odłogiem, a mianowicie na gołębiarstwo. Hodowlą gołębi na większą skalę powinni się zająć ludzie kompetentni i znający się na rzeczy; dziś hodowla ta leży prawie wyłącznie w rękach podmiejskich Antków i Franków, którzy ją traktują wprawdzie z wielkim zamiłowaniem, ale z małą znajomością.

Aby to wszystko eksportować, nie trzeba budować wielkich fabryk z kosztownymi maszynami i wogóle nie potrzeba żadnych wielkich wkładów.

Rząd i państwo musi się tylko o tyle wtrącić do tego, o ile potrzebny jest w tym wypadku jego życzliwy protektorat, w postaci urzędzenia wystawy przemysłu ludowego, zareklamowanej przez konsulat, i dostarczenia wagonów-chłodni do eksportu jaj lub bitego ptactwa. Resztę robi inicjatywa prywatna i poszczególne jednostki.

Do eksportu tego rodzaju potrzeba tylko trochę dobrej woli, dużo solidarności i pedantycznej dokładności.

Zagranica płaci, ale za swoje pieniądze żąda towaru pierwszorzędno. Jeśli chcemy eksportować kilimy, lub wełniaki, to nie może to być tandeta, wykonana bylejak, tylko musi być towar w wyborowym gatunku, zarówno pod względem materiału, jak i sposobu wykonania.

Jeśli eksportujemy grzyby, to nie wolno nam ich wysyłać bez skrupulatnego sortowania i odrzucenia trujących, czy robaczywych. Jeśli to zlekceważymy — cała impreza spotka się z fiaskiem. Eksport narazi się na straty, a Polska na kompromitację.

Eksport grzybów zaczął się u nas bardzo dobrze rozwijać; eksporter polak zrobił w krótkim czasie majątek wcale pokaźny; pozazdrościli mu natychmiast inni i wzięli się do tego ludzie niesolidni, liczący na zysk jednorazowy; efekt był taki, że wysłano do Ameryki partję grzybów trujących. Oczywiście, Ameryka natychmiast zamknęła granicę dla polskich grzybów. Dziś musimy wysyłać je przez Niemcy, które, naturalnie, spijają śmietankę zysków.

Jaj eksportujemy także sporo, ale znaną jest rzeczą, że osiągamy za nie taką samą cenę, jak Chińczycy. Przychodzą one brudne, niestarannie pakowane i niejednolitej wagi (często poniżej przepisowych 65 gr.).

Należy więc podnieść za wszelką cenę jakość jaj eksportowych; można to osiągnąć przez staranne sortowanie i pakowanie.

Zapotrzebowanie na bite, czy żywe ptactwo jest ogromne, gdyż np. Francja i Belgja konsumują tego kilka razy tyle, co produkują; sprowadzają też rokrocznie drobiu za znaczne sumy. Ale napewno nie kupią gnatów, pokrytych skórą, tylko żądają ptactwa młodego, doskonale utuczonego według panujących tam wymagań.

Dalej więc, wyteżmy wszystkie siły, aby eksport nasz nie tylko podnieść, ale i postawić na jaknajwyższym poziomie. Niech nikogo nie zabraknie przy pracy nad podniesieniem naszego wywozu, a tem samem — nad podniesieniem dobrobytu.

M. Saryusz-Stokowska.

## DIETA W CHOROBIE

W wypadku choroby żadna książka, lub artykuł nie zastąpią doświadczonego lekarza, gdyż, aby postawić diagnozę i przepisać dietę, trzeba znać i obserwować chorego osobiście. Dla każdego człowieka, w chorobie znacznie więcej, niż w zdrowiu, istnieją odmienne prawa racjonalnego odżywiania, choć w rezultacie wszystkie mają jeden i ten sam cel: dostarczenie odpowiedniej ilości materiału energetycznego, materiału budowlanego i zaspokojenie uczucia smaku. Prawa racjonalnego odżywiania muszą być modyfikowane dla każdego osobnika indywidualnie. Może to być zrobione z pożądanym rezultatem tylko wtedy, gdy znamy rzeczywisty stan chorego.

Rada lekarza co do odżywiania jest czasem tylko ogólna, zwłaszcza wtedy, gdy dieta nie stanowi głównego czynnika kuracji. Pielęgniarka lub osoba opiekująca się w domu chorym, często jest w kłopotcie, jak wykonać zlecenia lekarza, jak zadowolnić pacjenta, oraz nie nadwerzężyć zbyt jego kieszeni.

Często bardzo w drobnych niedomaganiach, np. żołądkowych i innych, chorzy wcale nie radzą się lekarza, a jednak konieczne jest wprowadzić pewne zmiany w odżywianiu. Im bardziej popularnym stanie się zrozumienie ogólnych zasad odżywiania chorego, tem lepiej on na tem wyjdzie. Przedewszystkiem każdy powinien uwolnić się od przesądu, że jakikolwiek pokarm może odgrywać specyficzną rolę przy jakiejś chorobie. Z małymi wyjątkami (jak np. kuracja wątróbkowa przy anemji złośliwej, cytrynowa przy artretyzmie) jeden pokarm nie ma wybitnego wpływu. A więc nie można się radzić, czy korniszony dobre są na schudnięcie, kasza na anemję, bo dieta polega 1) na stworzeniu pożądaných warunków do trawienia, ułatwienia asymilacji i 2) na zestawieniu jadłospisu i umiejętnem ugotowaniu potraw.

Zapoznaliśmy się już w poprzednich artykułach z ogólnymi zasadami gotowania dla chorych i ozdrowieńców; obecnie z kolei zapoznamy się z zasadami zestawiania jadłospisu wogóle i w poszczególnych wypadkach chorób.

I. Są ogólnie przyjęte 3 kategorie diet w szpitalach: płynna, półpłynna i lekka, t. j. dieta dla ozdrowieńców.

W każdej z tych kategorii jest wiele typów diet, zależnie od rodzaju chorób.

*Dieta płynna* stosuje się w tych wszystkich wypadkach, gdy trzeba zaoszczędzić pracy przewodowi pokarmowemu. Dobre trawienie w żołądku zależy naogół od dobrych przyzwyczajęń jedzeniowych od dzieciństwa, ruchu na świeżem powietrzu. Złe trawienie żołądka bardzo szybko wywiera wpływ na działalność jelit cienkich. Wszelkie zdenerwowanie, złość, strach i t. p. zatrzymuje procesy trawienia. Różnorodne bakterje, które zawsze znajdują się w jelitach cienkich, korzystają z tego niestrawionego normalnie pokarmu i spożytkowują go dla własnego użytku. Produktami rozkładu pokarmów są gazy, nieraz b. bolesne, rozstrój nerwowy, spazmatyczne zaś kurcze jelit powodują zaparcie, odbijanie się.

Najłatwiej strawne, nawet w anormalnych warunkach, w chorobie i osłabieniu, przy braku apetytu, zdenerwowaniu — są pokarmy płynne. Dlatego to trzeba je czynić dość pożywnymi, aby dostarczyć pożądanę ilość materiału opałowego i białka (kaloryj), a można to osiągnąć przez umiejętnę zestawienie ja-



dłospisu i przyrządzanie pokarmów; można nawet uczynić dietę płynną wyższą kalorycznie, niż dieta zwykła.

Przykład: Szklanka mleka daje 170 kaloryj. Szklanka kakao z żółtkiem, ze śmietanką bitą i z laktozą — 500 kaloryj.

Laktoza jest to cukier, dający tyleż kaloryj, co zwykły, ale jest znacznie mniej słodki, więc można go wziąć więcej, niż cukru zwykłego do szklanki kakao i w ten sposób podwyższyć ilość kaloryj w danym pokarmie.

Ponieważ wszystkie pokarmy w normalnym odżywianiu muszą być zamienione w stadium płynne dla wchłonięcia ich — przeto dieta płynna jest uważana za najłatwiej strawną i bywa często zalecana przez lekarza. Dieta ta obejmuje: 1) rosoly i zupy klarowne; 2) sok z surowego mięsa wołowego; 3) kleiki; 4) mleko i napoje z mlekiem; 5) surowe jaja w połączeniu z wodą, mlekiem, sokiem z pomarańczy lub innych owoców, z kakao lub innym płynem; 6) zupy, zaprawione śmietanką; 7) purée z warzyw.

Rosoly i zupy klarowne mają mało wartości opałowej (kaloryj) — 3 do 4 szklanek dają 100 kaloryj. Główna ich rola polega na tem, że są przyjemne dla podniebienia. Wszystko zaś to, co jest smaczne, wywołuje wydzielanie się śliny, a zatem i soków trawienych w żołądku i jelitach; pobudza więc aparat trawienny do pracy. Potrawy takie orzeźwiają, jeśli są kwaśkowe lub podane na zimno, dają uczucie ciepła i uspokojenia nerwów, gdy podane są na gorąco. Rosoly mogą wnieść trochę pożywienia przez dodanie jaj, przez zaprawienie kleikami lub zasypanie kaszką. Kaszkę należy jednak gotować 2 razy dłużej, niż normalnie, bo wtedy jest łatwiej strawna.

Sok z surowej wołowiny jest b. odżywczy. Należy usiekać wołowinę, a potem wycisnąć przez maszynkę, lub wyciskacz od kartofli purée. Można również posiekane mięso włożyć do butelki z wodą, zakorkować i wstawić do gotującej się wody na b. wolny ogień na 2 do 3-ch godzin, aby wydostać sok z mięsa; ale nie należy go gotować. Sok z mięsa jest równie strawny, jak jaja i mleko, lecz nie jest tak smaczny, jak rosół, i można go podawać jedynie w małych ilościach.

Kleiki dawać należy, gdy chory cierpi na brak apetytu; gdy jednak apetyt jest niezły, nie należy przesadzać w dawaniu jednostajnych kleików, bo to może właśnie odebrać apetyt, rozleniwiając jelita. Można wzbogacić odżywczą wartość kleików dodatkiem jaj, śmietanki, mleka.

Mleko jest jednym z najbardziej wartościowych pokarmów dla chorego. Czasem jednak komuś mleko stale nie służy i to trzeba uwzględnić. Dla większości ludzi jest to jednak pokarm b. łatwy do strawienia w stanie naturalnym. Mleko zawiera wszystkie potrzebne dla organizmu składniki i często stanowi ono wyłączny pokarm chorego.

Pożyteczność mleka podnieść można przez 1) zmianę jego smaku, który dla wielu dorosłych nie jest przyjemny; 2) przez zmianę względnego stosunku między białkiem, tłuszczem i węglowodanami; 3) przez połączenie mleka z jakąś substancją, która zapobiega formowaniu się większych kawałków ściętego białka w żołądku. Ci, którzy nie lubią słodyczy w mleku, mogą jeść zsiadłe (lepiej bez śmietany), pić maślanke, kefir, kawę, herbatę, kakao można dawać do słodkiego mleka dla zmiany smaku.

Kleiki, jak również woda wapienna, mogą być

dodawane do mleka, aby je zrobić bardziej strawnym. Surowe rozbite jajka dodawać można ze skórką cytrynową lub z wanilią, precedziwszy przed podaniem. Ponieważ pełne mleko ma wartość energetyczną około 675 kaloryj na 1 litr, więc około 3 litrów mleka dziennie potrzeba dla człowieka, leżącego w łóżku, do zaspokojenia przeciętnych wymagań opałowych; 2 $\frac{1}{2}$  litra mleka + 2 jaja dadzą tyleż opału dla organizmu, a przez dodatek śmietanki lub laktozy ilość mleka można jeszcze z łatwością zmniejszyć.

Przy skłonności do wymiotów b. dobre są napoje białkowe: białko, zlekką rozbite widelcem w wodzie (tak, aby jak najmniej utworzyć piany), podawać można z sokiem z cytryny lub pomarańczy.

Jeżeli dieta płynna trwać ma czas krótki, nie należy robić usiłowań w kierunku utrzymania wartości opałowej na poziomie diety normalnej, t. j. 2800 do 3000 kaloryj. Nie trzeba więc przesadzać w zbyt niemięrowym wprowadzaniu jaj, cukru-laktozy do płynów. Płyny szybciej zostają wchłonięte, gdy są bardziej rozcieńczone. Dietę płynną trzeba stosować w małych ilościach i w dość krótkich przerwach. Pożywienie płynne prędko wydostaje się z żołądka i wchodzi do krwi. Gdy dajemy za dużo na raz, obarczamy organizm chorego zbytnią pracą.

Wzór jadłospisu na dietę płynną.

7 rano: 1 szklanka kawy z  $\frac{1}{4}$  szklanki mleka.

9 rano: limonjada z białkiem (3 łyżeczki soku z cytryny, 2 łyżeczki cukru, 1 białko,  $\frac{3}{4}$  szklanki wody).

11 rano: 1 filiżanka rosolu.

1 p. poł.: 1 filiżanka kleiku z mlekiem.

3 p. poł.: limonjada, jak wyżej.

5 p. poł.: 1 filiżanka herbaty z  $\frac{1}{4}$  fil. mleka.

7 p. poł.: 1 filiżanka rosolu.

9 wiecz.: 1 filiżanka kleiku.

11 wiecz.: 1 filiżanka rosolu.

Gdy dieta płynna ma być stosowana przez czas dłuższy (np. okres kilkotygodniowy), trzeba więcej uwagi zwrócić na wartość odżywczą pokarmów. A więc, zależnie od typu choroby, zestawia się jadłospis. Poniżej podaję przykład jadłospisu w ogólnych warunkach, gdy trawienie chorego nie jest bardzo zahamowane, a lekarz przepisał dietę płynną przez czas dłuższy.

7 rano: 1 szklanka mleka.

9 rano: 1 szklanka mleka z kilkoma kroplami mocnej kawy.

11 rano: sok z pomarańczy z wodą, białkiem i cukrem.

1 p. p.: zupa purée z warzyw, lub rosół z żółtkiem +  $\frac{1}{4}$  szklanki śmietanki.

3 p. p.: napój jajeczny.

5 p. p. 1 szklanka kleiku.

9 wiecz.: 1 szklanka kleiku.

11 wiecz.: gorące mleko lub kakao.

Marja Morzkowska.

**INSTYTUT PIĘKNOŚCI Dr. J. Świtalskiej**  
**I ZDROWIA**

**w Żegiestowie-Zdroju**

poświęcony nowoczesnemu pielęgowaniu zdrowia, urody, młodości — został otwarty dnia 1. VII b. r.

Dr. J. Świtalska ordynuje od 1. VII b. r. 320

== Informacje: Dyrekcja Żegiestów-Zdrój. ==

# Nasza Mównica

## W sprawie przerywania ciąży.

Czytam tyle listów w tej sprawie, rzeczowo uzasadniających poglądy pań, że może i ja coś rzeczowego powiem.

Mój ś. p. ojciec był lekarzem, cieszącym się poważaniem i przyjaźnią takiej gwiazdy lekarskiej, jaką był słynny Robert Koch. Jeżeli o tem wspominał, to tylko dla tego, żeby zdanie mego ojca miało wagę nie tylko dla mnie, jako córki, ale i dla osób obcych.

Otóż, wydając mnie zamaż, na parę dni przed ślubem, ojciec tak do mnie przemówił: „Pamiętaj, że dla zdrowia każdej normalnej kobiety, lepiej jest 12 razy normalnie urodzić, niż jeden raz poronić, bo natura jest tak konsekwentna w swojej pracy twórczej i zamiarach, że, naruszając jej prawa, rujnujesz podstawy swego zdrowia. W twoim organizmie, z chwilą zajścia w ciążę, zachodzą zmiany, dla ciebie nieuchwytnie, ale nader ważne, które, jeżeli zostaną nagle przerwane, wywołają tak gwałtowny wstrząs całego organizmu, że go niczem nigdy nie naprawisz. Zacięży to na twoim zdrowiu fizycznym i na twoim całym systemie nerwowym. Tyle czułem się w obowiązku powiedzieć ci, jako lekarz. Każdy sumienny lekarz powie ci to samo“.

W ciągu całego mego życia mogłam stwierdzić wielką rację słów mego ojca. Jestem już starą kobietą. Nigdy na żadne choroby kobiece nie chorowałam, rodziłam lekko, ciążę przechodziłam bez żadnych dolegliwości, pracując przez cały czas, jak zwykle. Obecnie na moje lata nie wyglądam, zmarszczek nie mam, siwa nie jestem, cerę mam świeżą, kosmetyków nie używam. Dzieci moje są zdrowe.

Widziałam zaś, przez długi czas mego życia, dużo kobiet młodych, cierpiących na różne niedomagania. Całe to biedne bractwo kobiece robi na mnie fatalne wrażenie. Nie mówię o tem, że wyglądały zawsze staro, nerwy miały zrujnowane, nie miały sił i chęci do pracy. Po większej części były to ofiary poronień. Każdy sumienny lekarz przyzna mi rację.

Nie rozumiem obecnych kobiet. Woła się o zdrowe wychowanie, o sporty, a wszystko pod hasłem naprawy zdrowia przyszłego pokolenia, a jednocześnie nawołuje się do przerywania ciąży, i tym sposobem rozbija się świadomie budowę zdrowia od fundamentów. Na 100 kobiet, robiących sobie poronienia, 10 jest takich, które są do tego zmuszone stanem zdrowia; reszta, albo boi się stracić posadę (taka jest bardzo biedna!), albo lęka się niedogodności ciąży, zepsucia figury, lub przerwy w zabawach. Osobiście żałuję ich wszystkich, nie uniewinniam żadnej, z wyjątkiem tych, którym stan zdrowia nie pozwala rodzić.

Ustawodawstwo każdego państwa, zdrowego moralnie, nie może nie karać przerywania ciąży. Zmniejszenie przyrostu ludności osłabia naród. Dowodem jest Francja i obecne alarmy w Niemczech na ten temat. Państwo nie może wybaczać występków przeciw żywotności narodu. Inna jest logika potrzeb państwa, a inna wygody kobiet.

Wychodzę jeszcze z założenia, że nie ten jest złodziejem, który kradnie, ale ten, który drabinkę trzyma, i uważam, że jeżeli podług art. 141-go, kobieta ulega karze do 5-ciu lat więzienia, to artykuł 142 po-

winien brzmieć: Kto za zgodą kobiety ciężarnej i t. d.... ulega karze do 10 lat więzienia!

Dawniej trudno było znaleźć lekarza, któryby dla zarobku jedynie zgodził się zrobić poronienie. Obecnie słyszę coraz częściej, że dawny typ lekarza-kapłana swego zawodu, ulega przemianie. Że coraz więcej, niestety, jest lekarzy-rzemieślników. Otóż, jeżeli znajdują się tacy lekarze, którzy dla grosza spełniają czyny lekarsko-ludzko nieetyczne, słuszne jest, aby, chcąc mieć maximum zarobku, mieli i maximum ryzyka. Albo dużo zarobią, albo, w razie wykrycia czynu, będą też i surowo ukarani. Ustawodawstwo musi być zdrowe: schlebiać ludzkim słabostkom i obniżeniu moralnych wartości nie może.

Pani Galicka zapytuje: czy obecnie kobiety nie robią sobie poronień? Owszem, robią, ale jednak jest to trudne i koszty są spore. A że biedne kobiety, nie mogąc zapłacić lekarzowi, trują się i tracą zdrowie, a czasem i życie, to przecież i po operacji, zrobionej przez lekarza, można stracić życie, a zdrowie kobieta przez poronienie zawsze zasadniczo traci. Pani Galicka uskarża się na nędzę, wzrastającą wskutek przyrostu ludności. Ja uważam, że nędza materialna wrosta w lwiej części dzięki niedoskonałemu ustawodawstwu pracy i pracowstrętowi narodowemu. Nie lubimy pracować i starać się o to, aby pracę komuś dostarczać.

Kobiety powinny wyteńczyć siły, aby zabezpieczyć prawnie kobiecie-matce opiekę w czasie ciąży, porodu i roztoczyć opiekę nad dzieckiem.

Kobieta ciężarna nie powinna obawiać się redukcji, matka pracująca musi być spokojna o swoje maleństwo.

A etyka? No, to jest osoba bardzo względna i dla każdego stopnia intelektu inna. W każdym bądź razie: nie przerywanie ciąży wywołuje upadek moralności, a upadek moralności wywołuje nawoływania do przerywania ciąży.

Zupełnie słuszne jest, że istnieje ochrona robotnika przy pracy i w razie wypadku należy mu się pomoc. Tylko, że Sz. pani Galicka mięsza dwa pojęcia. Robotnik, zwykły rzemieślnik, *ulega przy pracy wypadkowi*, kobieta rodząca wypadkowi takiemu nie ulega.

Jeżeli uważa się tylko za „instrument de plaisir“, niegodna jest nazwy kobiety. Ale, jeżeli jest kobietą w całym, najlepszym tego słowa znaczeniu, kocha i jest kochana, to nie będzie uważała zajścia w ciążę za wypadek, ale za naturalny skutek.

Nikt nie zamierza zmuszać kobiety do rodzenia wbrew woli, to jest kwestją jej sumienia, sama musi decydować za siebie: rodzić, czy nie rodzić. Ale przecież wie dobrze, że z powietrza w ciążę nie zajdzie, a pozwalać sobie na wiele, pod tym pretekstem, że ma zmysły, też nie racja: człowiek ma, prócz zmysłów, ducha i rozum.

Moralnie, kobieta, ta lepsza częśćka ludzkości, jej intuicja, jej serce, nie może się zgodzić z przerwaniem ciąży. Jest to zabójstwo, dokonane na istocie, która się bronić nie może i tylko dla tego dokonane, że właśnie się nie broni. A że tak jest, przytoczę autentyczny wypadek.

Dawna moja znajoma, młoda mężatka, zaszła w ciążę i koniecznie chciała się dziecka pozbyć. Przy-

jechała do miasta, gdzie mąż umolestował lekarza, aby jej zrobił poronienie. Lekarz widzi, że babinka zdrowa, młoda, odradza jak może, aż nareszcie mówi: „Dobrze, zrobię to, o co pani prosi; jutro czekam panią o 10-tej rano, ale uprzedzam, że dziecko będzie czuć i krzyczeć, na to musi się pani przygotować!”.

No i nie poszła do lekarza, szczęśliwie urodziła i jest zachwyconą matką.

Lekarz był dobrym psychologiem, kobietka niezbyt mądra, bo uwierzyła, ale cel został osiągnięty.

Gdyby każde poronienie odbywało się w warunkach, wskazanych przez tego lekarza! Gdyby dziecko protestowało głośno, ciekawam, która z kobiet zdecydowałaby się na przerwanie ciąży?

A moralnie, czy kobieta wie, kogo w swem łonie nosi? Może nieśmiertelnego genjusza ludzkości? może z własnej woli dławi tego, który mógł ludzkości dać najwyższe szczęście?

Nie, moje Panie, nie idźmy po drodze najłatwiejszej! Niech kobiety walczą o prawa, należne matce i dziecku, ale niech nie powołują się na prawa kobiet do przerywania ciąży, bo żadne względy osobiste, lub materialne (z wyjątkiem zdrowia) nie zmienia zasady, że to jest zabójstwo.

M. Jasińska.

### W sprawie matek nieślubnych—głos męski

(W odpowiedzi P. P. Z. J. D., Bielsko, Czesł, Żyźniewskiej, Wilno i innym).

Nareszcie! Pierwszy głos kobiecy odezwał się, nawołując do pociągnięcia mężczyzny do odpowiedzialności, względnie ponoszenia następstw uwiedzenia kobiety. P. Ż. J. D. (Bielsko) przy końcu swej korespondencji w Nr. 22 „Bluszczu”, twierdzi, że „słuszneby było prawo, nakazujące poślubić uwiedzoną”. Dlaczego tak skromnie, dlaczego z taką względnością? czy mężczyzna zastanawiał się nad tem, porzucając swoją ofiarę, że życie tej istoty, mającej również, jak i on, pełnię praw człowieka, stanie się jednak pasmem cierpień, poniżenia i nie zasłużonej ludzkiej pogardy? A gdyby takie prawo zostało zatwierdzone, czy nie chybiłoby celu? Czyż ta dziewczyna nie cierpiałaby moralnie więcej ze strony swego przymusowego męża? Prawo takie byłoby w pewnych wypadkach nie do zastosowania, ponieważ nie można np. wymagać od starszego już żonatego lowelasa, by poślubił wszystkie swoje ofiary. Jednak małeńki krok zrobiony ku poprawie bytowania matek nieślubnych, wprowadzić narazie w postaci projektu, ale miejmy nadzieję!

Ja kreśląc tych kilka słów, miałem inny projekt.

Oto przymusowa adoptacja, z pełnią praw materialnych, tak dla matki, jak i dla dziecka. To, sądzę, byłoby naprawdę hamulcem na wybryki pseudo-erotyczne panów stworzenia, a na wypadek spędzenia płodu, byłbym za cięższem ukaraniem sprawcy, t. j. uwodziciela, aniżeli kobiety, gdyż mężczyzna, z chwilą rozpoczęcia akcji uwodzicielskiej, już zgóry układa sobie plan działania na przyszłość.

Gdy piszę te słowa, dręczy mnie równocześnie pewna myśl, pewne pytanie do Pań!

Dlaczego te Panie, a więc nietylko z „Mównicy”, ale wogóle panie z towarzystwa, które na wspomnienie matek nieślubnych uczuwają pewną odrazę, które odsadzają je zupełnie od jakiegokolwiek czci i szacunku, które z pewną nawet przyjemnością widziały by je odosobnione w jakichś osadach zadżumionych, dlaczego te same panie znoszą, szanują, przyjmują, ba! nawet często mienią się serdecznymi przyjaciółkami innych pań z towarzystwa, które miały to szczęście, czy nieszczęście i zapomniały na jedną chwilę, czy

nawet na dłuższy okres czasu, że są zamężnymi i ślubnymi matkami? Komentarze chyba zbyt ciche?

Wątpię, czy na łamach „Bluszczu” doczekam się odpowiedzi.

Następnie p. Żyźniewska, w zakończeniu swej korespondencji apeluje do kobiet, by w swej sprawie się wypowiedziały, a przede wszystkim kobiety prawniczki. Czy takie postawienie kwestji nie odstraszy od wypowiedzenia się kobiet, które studjów prawniczych nie posiadają, tylko, powiedzmy, maturę, albo też 6 czy 7 kl. gimnazjum. Czasem praktyka życiowa więcej może powiedzieć, niż teoretyczne studja prawnicze. Tu sucha litera prawa, tam krwią znaczone dola.

B. W.

### Z działalności koła Rodziny Policyjnej w Krasnymstawie.

Pomimo, że nie jestem członkinią Koła Rodziny Policyjnej, chcę jednak napisać parę słów o działalności tej, tak bardzo pożytecznej placówki. Doprawdy, że radość napelnia serce, gdy się widzi działalność niektórych jednostek, oddanych duszą całą pracy kulturalno-oświatowej. Do niedawna jeszcze społeczeństwo nasze traktowało mundur policyjny i tych, którzy go nosili, jak dawnych zabórczych żandarmów. W policjancie widziano wroga, do którego odnoszono się z nieufnością i bojaźnią. Dziś powiał inny duch, dziś społeczeństwo poczyną rozumieć, czem jest ten mundur i kim jest policjant; pojmujemy już, że należy współpracować z tym stróżem bezpieczeństwa, który często naraża swe życie i któremu grozi śmierć lub kalectwo ze skrytobójczej dłoni bandyty.

Praca na polu kulturalno-oświatowem wśród policji tutejszego powiatu datuje się od 1921 r. Ograniczała się wówczas tylko do luźnych przedstawień teatralnych, odczytów, pogadanek i t. p. Przyczyna tego tkwiła w braku chętnych do pracy. Pracowały z zapalem tylko jednostki, którym przyświecał piękny cel: osiągnięcia funduszu na wdowy i sieroty po poległych policjantach. Zwrócono się z apelem do społeczeństwa, przedstawienia amatorskie ściągały coraz więcej widzów i już w 1926 r. pierwsza zbiórka przyniosła 2000 zł. Była to na ówczesne stosunki suma pokaźna. Duszą imprez i przedstawień amatorskich był od pierwszej chwili przodownik policji, p. Józef Jelinek. Człowiek ten zdawał sobie jasno sprawę, że do społeczeństwa można przemówić tylko przez dobrą sztukę; stale organizował przedstawienia, początkowo rzeczy ła-



Dzieci „Rodziny” na letnisku — z p. Głodziomą pośrodku.



Zebranie Zarządu.

twe, grane tylko przez słabo wyrobione siły amatorskie z łona policji. Wreszcie, po zwalczeniu przeszkód i oporu społeczeństwa, po wielu borykaniach, udało się wciągnąć szersze grono amatorów. zaczęto wystawiać rzeczy trudniejsze, o większej wartości artystycznej. Tą drogą trafiało się do serc ludzkich.

Fundusz wzrastał z miesiąca na miesiąc. Po otwarciu też wdowom i sierotom, należało pomyśleć o zorganizowaniu czytelnicy. Zaczęto zbierać grosz do grosza na zapoczątkowanie biblioteki, dokupując systematycznie cenne dzieła. Głównym organizatorem i założycielem jest znowu niezmordowany w czynach p. Jelinek, przy wydatnej pomocy ówczesnego komendanta powiatowego. Dziś czytelnia liczy 1000 tomów dzieł wartościowych, z których korzystają nie tylko policjanci i ich rodziny, ale i szerszy ogół społeczeństwa.

Tak rozwija się praca do 1927 roku. Na przygotowanym w zarysach gruncie zjawia się niestrudzony w energii komendant powiatowy p. L. Głódź, który zabiera się szczerze do pracy, rozumiejąc, że jego obowiązkiem jest szerzenie oświaty w gronie podległych mu funkcjonariuszy policyjnych. Wytwarza się ciepły stosunek rodzinny. W pracy tej sekunduje wytrwale komendantowi jego małżonka, osoba o niewyczerpanej skarbnicy projektów. Przybyło rąk do pracy, która popłynęła wartkim potokiem. Zariło się od serji odczytów, pogadanek, zabaw towarzyskich. Pomysłano o zorganizowaniu świetlicy policyjnej, zaprenumerowano szereg pism codziennych i tygodników, zakupiono radio, gry i t. p. P. Głodziowa, jako przewodnicząca Koła Powiatowego Rodziny Policyjnej,



W świetlicy Rodziny policyjnej.

skupia obok siebie żony funkcjonariuszów policji. Odbywa z niemi częste, pouczające gawędy. Świetlica w święta roczne skupia wszystkich na wspólnej wigilijnej kolacji, lub śniadaniu wielkanocnym.

I tak każdy rok przynosi coraz lepsze rezultaty. Stała sekcja dramatyczna daje regularnie przedstawienia, objeżdżając przyległe gminy. Dosięga do każdego zakątka, rzucając garść światła łaknącym mieszkańcom zapadłych wsi. Fundusz, osiągnięty z imprez, przeznaczony jest na kolonje letnie dla dzieci policjantów, oraz na budowę bursy w Lublinie.

Na przyszłość roi się wprost od projektów i poczynań. Istnieje projekt założenia własnej orkiestry, kursów dokształcających. Ma być również wprowadzony kurs języków obcych i t. d.

Życzyć należy szczęśliwej pracy i pomyślnego spełnienia zamierzeń. *Pola Parolowska — Krasnystaw.*

## Z Podola.

Dużo się mówi, pisze, czyta o obronie Kresów wschodnich, lecz brak głębszego zainteresowania, jak na tych Kresach wygląda polskość. Mam na myśli Podole i chcę podzielić się memi wrażeniami i spostrzeżeniami.

Mieszkam w tych stronach od pół roku; gdym się już osiedliła, pojechałam do pobliskiego miasteczka (Probużny) po zakupy. Miasto żydowskie, ani jednego sklepu polskiego. Na przywitanie jedna z kupcowych pyta mnie: „Czy pani z Polski?“. Prawda, samo zapytanie daje dużo do myślenia? Popi w cerkwiach tutejszych włączają w głowy i w serca swych wiernych, iż „Do Sanu nasza batkiwszczyzna“. A któż temu zaprzeczy, kto powie: „przypomnijcie sobie Lwów! ta ziemia jest nasza polską krwią zlaną, prześlągnięta i okupiona, Podole jest nasze i tylko nasze“.

Tak, ale za przykład jednak nie możemy dawać Lwowa, bo Lwów, jako miasto, jest ośrodkiem inteligencji; musimy wniknąć w polskość wsi polskiej.

Jestem w kościele polskim, jak się tu mówi; za plecami słyszę, jak sąsiad wita sąsiada i ucinają krótką pogawędkę, proszę sobie wyobrazić, po rusku, bo oni tylko modlą się po polsku! Ksiądz mówi kazanie, naturalnie, po polsku, ale jestem moralnie przekonana, iż większość wiernych nie rozumie, co ksiądz mówi.

Jedna z gospodyń przyszła do mnie w jakiejś sprawie i opowiada mi z pewną dumą, że jest polką, ale tak pięknie mówi, aż żal ścisnąć człowieka za serce, bo nie rozumiem, o co kobiecie chodzi i sama proszę, by mówiła po rusku.

W naszej wsi jest Kółko rolnicze, lecz co ono robi, jaki jest zakres jego działania, od nikogo nie mogłam się dowiedzieć. Jest też zorganizowane Koło Młodzieży, które urządza od czasu do czasu jakieś przedstawienia polskie, ale sami porozumiewają się po rusku. Przewodniczącym Koła Młodzieży jest nauczyciel, ale Koło mało go interesuje.

Tak mniej więcej wygląda polskość na Kresach w Małopolsce. Co prawda, spotyka się wsie, mające ducha opiekuńczego polskości w postaci: dziedziarki, panienki, księdza lub nauczyciela, lecz to wyjątki.

Lud tutejszy jest inteligentny i garnie się chętnie do oświaty, ale potrzebuje bezwarunkowo kierownika duchowego, by nie schodzić na manowce. Brak jest dotkliwy odczytów.

Słyszałam o istnieniu Towarzystwa Opieki Kresów Wschodnich, dlaczego to Towarzystwo nie rozciągnie swej działalności i na Kresy w Małopolsce? Wogóle ta część Polski jest traktowana po macoszemu.

Dlaczego? Inwalidzi, ochotnicy-legjoniści z 1914 r., do dnia dzisiejszego oczekują na rentę inwalidzką, wierząc, że Warszawa o nich kiedyś sobie przypomni. To bardzo smutne; będąc królewianką, może więcej czuje to zaniedbanie i lekceważenie polskośći Podola.

Daje się odczuć dotkliwy brak nauczycieli polaków-patrjotów, nie rzemieślników, lecz ludzi miłujących lud, idących doń z pogodą i mądrością.

Przy Kółku rolniczem zorganizowałam teatr amatorski, by móc dawać przedstawienia ludowe, przede wszystkim kostjumowe, i przez to samo wniknąć do głębi duszy włościanina kresowego i przypomnieć mu, że: „Nie damy pogrześć mowy”. Dotychczas dawano tu sztuki salonowe, a te, mojem zdaniem, mijają się z celem. Przedstawienia te były parodią dobrej sztuki i miejscowi unikali uczestniczenia w nich. Między innymi, dawano kiedyś: „Zagłoba swatem” Sienkiewicza. Pytam się, jak poradzili sobie z kostjumami? Odpowiadają: graliśmy bez kostjumów, w swoich ubraniach! Zdębiałam, bo nie mogłam sobie wyobrazić Zagłoby w tużurku. Moje dobre chęci też rozbijają się o brak charakterystycznych, polskich kostjumów.

Wobec tego, apeluję do Szan. Czytelniczek, któreby zechciały nam pomóc w trudnem zadaniu zdobycia kostjumów; w każdym domu znajdzie się jakaś wstążeczka, sznureczek koralików, jakaś stara sukienka zbyteczna, z których moglibyśmy skompletować cztery pary ubrań dla krakowiaków.

Panie ziemianki posiadają zapewne jakieś stare kontusze, lub inne stare ubiory, bodaj podarte, które po naprawieniu oddałyby znaczne usługi, dla tak ważnej sprawy społecznej, na tych rubieżach Rzeczypospolitej.

Panie, które zadadzą sobie trud i raczą przesłać jakieś drobnostki na powyższy cel, będą łaskawe napisać do Redakcji „Bluszczu”, gdzie znajduje się mój adres.

W imieniu polaków kresowych składam zgóry serdeczne staropolskie „Bóg zapłać”. *Leonarda W.*

## Nasza ankieta gospodarcza.

1. Prócz produktów żywnościowych wszelkie inne sprawy załatwiam sama.

2. Kupuję stale w jednych sklepach, z ogłoszeń nie korzystam, czasem uwzględniam poradę znajomych pań.

3. Z towarów zagranicznych wyższość nad krajowemi zauważyłam jedynie w perfumach i lekarstwach. Poza tem wszelkie materiały wełniane i bawełniane, a nawet jedwabie krajowe nie są wcale gorsze od zagranicznych; obecnie również mamy doskonale krajowe pończochy jedwabne na miejscu, przedtem bowiem tylko w pracowniach pończosznicych w Warszawie mogłam je dostać.

4. Braki w przedmiotach, służących do codziennego użytku, nie dają się zauważyć. Jednakże pożądanym byłoby oparcie sprowadzania pewnych towarów na jakichś innych zasadach. Np. tkaniny: kupiec sprowadza wprawdzie kilkanaście sztuk jakiegoś jednego gatunku (np. sztucznych jedwabi) i rezultat jest taki, że zupełnie identyczne sukienki mają wszystkie wkoło: panie i służące. Czy nie mogliby kupcy w mniejszych miastach sprowadzać zamiast kilkunastu sztuk, kilkadziesiąt odcinków, przypuśćmy po 4 metry każdy? To samo trzeba powiedzieć o kapeluszach. Są tutaj nawet zupełnie ładne, gustowne i niedrogi, narzekać na jakość nie można. Cóż, kiedy zaobserwowałam w kinie na jednym seansie pięć pań w identycznych kapeluszach!

5. Jeżeli kupiony towar okaże się niedobry, więcej w tym sklepie nic nie biore i ostrzegam znajomych. Pretensyj przeważnie nie zgłaszam.

6. Waga i miara dość dokładna; opakowanie rozmaite, zależnie od sklepu. Szczególniej w sklepach żydowskich pakują

zakupy byle jak. Obsługa grzeczna, w żydowskich sklepach charakterystyczne zarzucanie klienta rzekomo idealnie najlepszym towarem i wpychanie na kredyt z równie charakterystycznym zapewnieniem: „czy ja się pytam o pieniądze, ja nie chcę pieniędzy”, co dla osób o słabej woli jest często zgubą. Wogóle o kredyt bardzo łatwo.

7. Ogłoszeń nie czytam, bo z nich nie mogę skorzystać. Jeśli ogłoszenia w gazecie dotyczą Krakowa, lub Warszawy, w Biżesiu nie po nich.

8. W „Bluszczu” chciałabym widzieć ogłoszenia sklepów z porządną, a niedrogą damską bielizną. W Warszawie co trzeci sklep ma bieliznę, a jednak kupić coś naprawdę dobrego, a nie efektowny galganek, jest niezmiernie trudno.

9. Do Warszawy jeżdżę po książki, różne drobiazgi, jak szaliki, torebki, korale i t. p., oraz skórkowe rękawiczki.

10. Ogromnie przykrą rzeczą jest zupełny brak chrześcijańskich piekarń. W czasie żydowskich świąt pieczywa niema przez dwa tygodnie. Przydałaby się również choć jedna chrześcijańska jatka.

*I. Adamska — Brześć n/B.*

1. Zakupy załatwiam przeważnie sama, ważniejsze wspólnie z mężem.

2. Zwykle kupuję przygodnie, gdzie mam warunki dogodniejsze.

3. Znajduję, że nasze towary w zupełności mogą zastąpić zagraniczne, oprócz rzeczy, których w kraju niema, jak jedwab, herbata etc.

4. Mieszkam w Poznaniu, więc żadnych braków nie odczuwam.

6. W sklepach poznańskich panuje wielka uprzejmość dla klientów; żydów prawie niema, więc dokładność wagi i miar.

7. Przed załatwieniem ważniejszych sprawunków, oglądam towary w paru miejscach, by kupić tam, gdzie są lepsze warunki.

10. Znajduję, że kupujący sami psują kupców, dając często pierwszeństwo wyrobom zagranicznym, jak tu, głównie niemieckim; gdyby klientela ogólnie żądała towarów polskich, to kupcy musieliby do tego się zastosować. Z drugiej strony jednak kupuje się często w magazynach polskich materiały lub konfekcję, a po niewczasie dowiadujemy się, że magazyn podaje za swoje to, co sprowadza od żydów. *M. Tańska — Poznań.*

1. Na dziesięć Pań, od których zebrałam odpowiedzi, siedem załatwia sprawunki same, trzy posługują się służącami.

2. Prawie wszystkie załatwiają większe sprawunki u stałych kupców, zwłaszcza te, które biorą na spłaty.

3. Wszystkie starają się kupować wyroby krajowe, i upominają się o towar krajowy, w przekonaniu, że jest ogólnie dobry.

4. W Krakowie brak owoców jest katastrofalny. Sfery miarodajne bardzo krzywdzą ludność tem, że cła na owoce jeszcze nie zniesiono. Z Czerniowiec mamy wiadomości, że tam jest hyperprodukcja owoców i że są niesłychanie tanie, a sprowadzić nie można z powodu cła. Dzieci i chorzy dotkliwie na tem cierpią.

5. W mniejszych sklepach, szczególnie żydowskich, wagę i miarę trzeba kontrolować, gdyż jest niecisła, w katolickich nie; towar różny, ale zależy to i od ceny.

6. Ogólnie Panie są zdania, że kupiec-polak ma na głowie przysłowiową „koronę” i rzadko ją zdejmuję, z wysokości też tej korony traktuje publiczność, zwłaszcza tę, która się „liczy” z groszem.

7. Przeważnie nie powodują się reklamą, lecz spostrzeżeniami Pań znajomych i własnem doświadczeniem.

8. „Bluszczy” daje pełne zadowolenie Paniom, które go czytają; znajdują w nim pomoc i rady, które zastosować może każda z Pań. Wszystkie żądają wiadomości o ludowym przemyśle i wołają o obniżenie cen wyrobów tego przemysłu w każdej dziedzinie.

9. Zakupy czynimy wszystkie tu, w Krakowie.

10. Gwałtownie potrzeba szkoły dla sług, w każdym większem środowisku, i to szkoły przymusowej.

*A. Madeyska — Kraków.*